

## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop 50. rocznie rub. 10.  
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**

*Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.*

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

## Gospodarka domowa.



### IV.

#### Stowarzyszenie rodzin szczęśliwych.

Program nasz nowym nie jest. Stosuje go oddawna praktyczna Francuzka, Niemka, Angielka; w całej Europie zachodniej i Ameryce rodziny średnio uposażone zawdzięczają mu dobrobyt. Przemysł, zwłaszcza amerykański, wysiła się prosto na udogodnienia domowe i kuchenne dla gosposi-pracownicy; maszyny, maszynki i automaty ułatwiają jej robotę. Coraz mniej energii, a także i mniej czasu zużywać potrzebuje, otoczona mnóstwem narzędzi pomocniczych najrozmaitszego kalibru.

Nie wynaleźliśmy nic nowego, nie odkryliśmy nawet—i tem lepiej. Nie o inowacę nam idzie, której praktyka nie stwierdziła, wątpliwą jakąś, niepewną, lecz o szerzenie myśli solidnie zdrowej i w zastosowaniu już wypróbowanej.

Oszczędność, jaka z przyszłej gospodarki płynąć może, ma bajeczną miarę — to owe skarby, które ojciec ukrył w ziemi i umierając, kazał synom kopać, kopać jak najdłużej... To miliony dla kieszeni, miliardy, jako otucha i wiara w lepsze jutro.

Bo gdy dziś, choroba głowy domu, chociażby krótka, jeśli jest połączona z bezrobociem przymusowem, wiedzie rodziny do zguby, w warunkach normalnych odpoczywa się, chorując. Myśl względnie spokojna, nieobarczona troską, sen bez przykrych marzeń — powrót do zdrowia łatwiejszy i prędzyszy. Bo gdy dziś człowiek spracowany ma przed sobą groźne widmo nędzy, gdy dziś liczy z trwogą ubiegające lata i oczekuje starości niby kłątwy,

wiszącej nad nim, niby kary;— w warunkach normalnych jesień życia uśmiecha się do niego nadzieją wypoczynku, a on niby do kochanki wzdycha do niej.

Te warunki normalne stworzyć może oszczędność, systematycznie prowadzona przez długi szereg lat, oszczędność drobiazgowa, kobieca. Tylko trzeba się do niej zabrać nie odwołując, bo dnia każdego szkoda i grosza każdego również. Ziarno do ziarnka, będzie miarka — nie rozsypujemy przeto ziarnek, lecz zbieramy je gorliwie.

A teraz musimy powiedzieć czytelniczkom „Bluszcza,” co myślą ich mężowie, synowie i bracia o naszym programie. Zwróciliśmy się do nich z zapytaniem, czy taka reforma jest możliwą, bo jeśli inicjatywa od kobiety wyjść powinna, tylko za wspólną zgodą do rezultatu dojdziemy. Panowie mężowie byli mniej jaśni w zdaniach i dosyć niepewni.

— Przydałoby się, tak — myśl dobra, ale rzecz trudna bardzo. Nawykliśmy, stosunki, dzieci, ich przyszłość i t. d., i t. d.

Nieżonaci zachwycali się nieskomplikowanym aparatem przyszłego „domu.” Gdybyśmy chcieli brać miarę z tych zachwytów, wносиłby można, że przy nowej gospodarce zabrakłoby w Warszawie kawalerów, bo wszyscy, jak jeden człowiek, poszliby od razu do ołtarza.

Poważniejsi wzdychali nad obecnym stanem rzeczy; przypisywali mu tyle win ciężkich i tyle krzywd społecznych, jak gdyby on był jedynym źródłem złego.

Ci też najserdeczniej życzyli powodzenia naszemu programowi, a wszystkich, stosujących go w praktyce, nazwali „Stowarzyszeniem rodzin szczęśliwych.”

Czy mają rację? czy w jasnowidzeniu prorokują, czy tylko w dobrej wierze? nie śmiemy przesądzać.

szczęście jest pojęciem, abstrakcją — pod-

stawy szczęścia dadzą się jednak nietylko określić, ale i zbudować. Myśmy właśnie zbudować je chcieli według naszych sił i środków. Jeśli nie sprostałismy zadaniu, to już nie nasza wina.

Sz.



Maryan Gawalewicz. ←

# J A D.

## POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

Spieszyła się do domu, aby zdążyć jeszcze przed zapowiedzianymi gośćmi, którzy mieli przyjść ją pocieszać w jej osamotnieniu.

Przyzwyczajona do życia towarzyskiego, do otoczenia, nie znosiła pustki dokoła siebie; miała w sobie coś z natury wróbla, który żyje gromadnie i musi ćwierkać nieustannie.

W salonie u siebie zastała już parę osób z pośród swoich najzaufańszych; służący w progu oznajmił jej, że pani Palewska z panem Iziem Pustopolskim od pół godziny czekają, a panna Justyna Solówna siedzi w gabinecie i pisze.

Zrzuciwszy za ledwie okrycie w przedpokoju, Dobrojewska wpadła do salonu w kapeluszu na głowie bez ceremonii i rzucając się na szyję tęgiej, rosłej, bujnie rozwiniętej brunetce, o włosach wielce podejrzananej czarności, zaczęła ją przeproszać tak gorąco i z takim przejęciem, jak gdyby, czuła się wobec niej ogromnie winną uchybienia, niczem nie dającego się usprawiedliwić.



— Ach, *ma chère*, jestem zawstydzona do prawdy, nie wiem, jak cię mam przebłagać!.. tak się spieszyłam, tak pędziłam z powrotem, ażeby być na piątą w domu, ale zatrzymała mnie Taniecka; byłam u niej, musiałam starą odwiedzić, — jakoś wypadło, rozumiesz?... sama jedna, i trochę niezdrowa po wczorajszym. Zatrzymała mnie tak długo i nie mogłam się wyrwać; przepraszam, przepraszam!.. przecież się nie gniewasz?.. Witam pana, panie Iziu!.. dobrze przynajmniej, że pan tu byłeś. Długo czekacie?.. herbaty wam nie dali?.. O, mój Boże!.. przecież mogliście się rozporządzić, jak u siebie. Zaraz... ja tylko zdejme kapelusza i trochę się ogarnę... pozwolisz?... za minutkę!.. Gdzieś tu jest Justynka... podobno w moim gabinecie?

I wyfrunęła z salonu, nie dając nikomu dojść do słowa, rozrzucona, ruchliwa, z żywą gestykulacją młodziutkiej naiwnej, która za rok... obawia się zostać babką.

Palewska spojrzała na swego towarzysza z uśmiechem, który mówił:

— Zawsze narwana, prawda?—i biorąc ze stolika safianową tęczkę, zamykaną na kluczyk, pełną papierów, listów, dzienników, którą nosiła zwykle z ministeryalną powagą, rzekła:

— Panie Iziu, daj mi pan papierosa!

Pustopolski, mężczyzna przeszło czterdziestoletni, niski, chudy, z wyszukaną elegancją ubrany, ogromnie szykowny, z miną salonowca, dbającego o pozory wielkiej wytworności, poskoczył do niej, jak sprężyna poruszony i nastawił jej swoją złotą papierosnicę, pełną cienkich papierosików z monogramem; twarz jego pokryta skórą starą, wygładzoną rękawiczką, uśmiechała się przy tem małpim grymasem, który odsłaniał dwa szeregi białych, równych, szero-

kich zębów, połyskujących w kilku miejscach złotymi punkcikami plombowania.

Rzadki, spiczasty wąsik sterczał mu nad ustami; na skronie miał naczესane włosy z przedziałem nad wązkiem, pomarszczonym czołem, w lewym oku szkiełko bez sznurka.

Przy rozwiniętych kształtach i wzroście Palewskiej wydawał się karzełkiem, nadskakującym jej z minoderyą pokojowego pieska, który się lasi do swojej pani.

— Byliście jeszcze w klubie po wczorajszym weselu?—zagadnęła go, zapalając papierosa.

— Naturalnie; musieliśmy przecie wydychać wszystkie toasty i podzielić się wrażeniami.

— No i zakończyć dzień pożyteczną partyjką,—wtrąciła złośliwie z grubym, krupiatym śmiechem astmatyczki, zciśniętej z nadto gorsetem.

— Pani wie, że ja nie hazarduję.

— Ale asystujesz pan. Gdzieżby się galeria bez Izia obyla!.. Cóż to, nie znam pana?.. No i plotkowaliście bardzo?

— Odrobineczkę.

— Do rana?

— Niezupełnie, wyjątkowo wcześniej rozeszliśmy się, około czwartej. Jakoś nie było werwy.

Palewska z politowaniem popatrzyła na niego i odwróciła głowę.

— Około czwartej!.. to dla was wyjątkowo wcześniej!.. Powiedz mi pan, kiedy pan właściwie sypiasz?... chyba nigdy.

— O, zdarza się!.. kilka razy do roku, to nawet zasypiam, jak niedźwiedź, na całą dobę,—odpowiedział jej ze śmiechem.

Przyjrzała mu się przez impertynentkę i skrzywiając pogardliwie usta, rzekła:

— Ładny mi niedźwiedź!.. nie bądź pan zarozumiałym i powiedz raczej—wiewiórka!

— Pani prezesowa zawsze złośliwa, zawsze kostyczna!—śmiał się i krygując swoją drobną figurkę, bez najmniejszej urazy za przymówkę, całował ją po rękach.

Pani prezesowa znana była z tego, że uchodziła za weredyczkę i podrabianym trochę tonem rubasznosci starała się być oryginalną w salonach; przyznawała się głośno, że nie cierpi wylizanych form i banalności, lubiła „rznąć prawdę i o resztę nie pytać,“ a że miała język ostry i energiczny, więc się obawiano jej złośliwości.

Tytuł prezesowej nadano jej jeszcze przed kilkunastu laty z powodu przewodniczenia w jakiejś instytucji dobroczynnej, która za ledwie wegetowała, ale Palewska chełpiła się, że jest filarem filantropii i całą swoją działalność poświęcała tylko sprawom publicznym, pomiędzy którymi wyróżniała jedynie te, które zaszczycała swym osobistym udziałem i protekcją.

Codziennie miewała jakieś sessye, narady, zebrania, należała do tuzina rozmaitych komitetów, kreśliła projekty nowych towarzystw, układała ustawy, zbierała składki, urzędowała wszelkiego rodzaju karoty, jeździła po znajomych i niezajomych, narzucając się wszystkim i miała opinię „nieznośnej pily,“ przed którą chowano się po kątach i uciekano.

Była mężatką bezdzietną, z majątkiem nie bardzo określonym; męża nie widywano, powątpiewano nawet o jego istnieniu, a co do majątku zachodziły również wątpliwości, chociaż prowadziła żywot na pozór dostatni i bywała „w świecie,“ nie przyjmując jednak nigdy u siebie.

Pani prezesowa była typowym okazem salonowej *hic mulier*, teroryzującej zarówno mężczyzn, jak i kobiety w swojej sferze, jakimś urojonym przywilejem wyższości i władzy, której wszyscy poddawali się bier-

## QUODLIBET.

(Pogawędka).



(LITERACKA BIEDA).

Na literackim chlebie chyba nikt u nas nie utył; natomiast wielu przy nim głodem przy-mierało i obecnie, chociaż się warunki bytu dla braci piszącej znacznie poprawiły w porównaniu z niedaleką nawet przeszłością, nie braknie jeszcze takich, którzy często nie wiedzą dobrze dzisiaj, czy jutro na pewno obiad zjedzą.

Potrzeba posiadać bardzo niepospolity talent, bardzo duży rozgłos i szeroką wziętość, aby dyktować warunki wynagrodzenia za literacką pracę i oznaczać cenę na swoje utwory, albo też mieć wrodzoną łatwość tworzenia, pisanie dużo, w każdej porze, o wszystkim, na „kilka rąk,“ jak to mówią, aby sobie zapewnić znośne warunki utrzymania, dalekiego jednak od zbytków.

O dochodach literatów i dziennikarzy publiczność nasza najczęściej ma zupełnie mylne wyobrażenie.

Nie jedna Diva operowa, nie jeden tenor zarabia w ciągu roku dziesięć, sto razy więcej, aniżeli najbardziej utalentowany poeta, powieściopisarz lub dramaturg; od tych ostatnich zwłaszcza często woźny teatralny miewał do niedawna większe dochody, a w porównaniu z artystami, gdy istniało jeszcze *feu* na scenie warszawskiej, nie jeden komedjopisarz powinien był żałować, że zamiast twórczego, nie posiadał naśladowczego talentu.

Byłoby mu się to niewątpliwie stokroć lepiej opłaciło materyalnie.

Pamiętam, że przed laty kilkunastu wystawiłem na scenie jednoaktowy obrazek dramatyczny, który jakoś szczęśliwie utrzymał się do dnia dzisiejszego na repertuarze; artysta, od dawna już, niestety, nie żyjący, za trzykrotny występ w mojej sztuce wziął dwa razy większe wynagrodzenie, aniżeli honorarium autorskie na wieczne czasy wynosiło.

Moi kolledzy po piórze mogliby takich przykładów o wiele więcej przytoczyć.

Kiedy rozpoczynałem zawód literacki przed laty trzydziestu we Lwowie, płacono jeszcze najczęściej autorom, zwłaszcza młodym, za ich utwory... farbą drukarską i bibułą.

Zaszczyt, że człowiek był „drukowanym“

i kilka gratisowych numerów z pomieszczonego artykułem, wierszem lub powiastką, musiały starczyć za pieniężne wynagrodzenie.

Warszawa pod względem hojności wydawniczej wyprzedziła od dawna wszystkie ogniska literackiego ruchu polskiego; redakcyje płaciły autorom nie zawsze, nieregularnie, często bardzo lichy, po śmiesznie niskiej cenie, ale przynajmniej pozornie nie wyzyskiwały pracy i twórczości.

Na swoje usprawiedliwienie miały same... wytarte łokcie i dziurawe kieszenie; prasa nie była jeszcze tak zyskownym przedsięwzięciem i świetnych interesów nie zapewniała wydawcom.

Ideałem dziennika przed pół wiekiem było: opłacać się i zamykać budżet roczny bez niedoboru; o spekulacjach na prenumeracie i ogłoszeniach nie marzyło się jeszcze nikomu.

Dola literata w owych czasach była też oplakaną; pisało się wszelako z innych, bardziej bezinteresownych pobudek, niż dzisiaj, nie dla chleba, lecz dla sławy, rozgłosu, idei, z wewnętrznej jakiejś potrzeby, z wrodzonego instynktu lub zamiłowania, ale nie dla względów praktycznych, które raczej zrażać, niż zachęcać mogły do pióra.



nie, nie próbując nawet sprzeciwić się i opierać.

Jej krew błękitna, podobnie jak krucze włosy miały barwę dość podejrzaną, mimo to nikomu nigdy do głowy nie przyszło kwestyonować ani jej arystokratycznego pochodzenia, ani koloru jej hebanowych splotów, które według zapewnienia samej prezesowej były „dziedziczną osobliwością w jej rodzie.“

— W naszej rodzinie,—mawiała z całą pewnością siebie,—kobiety nigdy nie siwieją. Moja babka, szambelanowa Tarratyńska miała lat siedmdziesiąt sześć, gdy umarła a poszła do trumny z czarnymi włosami. Możecie sobie wierzyć lub nie wierzyć,—dodawała, spostrzegłszy wyraz sceptyczny na twarzach słuchaczy, albo uśmieszek powątpiewania,—ale ja wam powiadam, że tak było i basta. Dużo sobie robię z tego kto nie uwierzył!.. *Je m'en fiche.*

Znacznie starsza od Dobrojewskiej była z nią na „ty“ i obdarzała wyjątkowymi względami tę „narwaną Pepitę,“ jak przeważała przyjaciółkę, w której salonie prezydowała zwykle na wszystkich mniejszych i większych zebraniach.

Kochaną Miszetkę, jak wszystkie w ogóle panny po domach, z którymi utrzymywała stosunki, uważała za swoją pupilkę i rościła sobie do niej prawo przybranej matki i mentorki.

Małżeństwa z Tanieckim nie popierała wcale; nie podobał się jej od pierwszego zetknięcia, bo za mało okazywał jej szacunku i uległości.

Ośmielał się mieć swoje zdanie i naraził się nieomylnie pani prezesowej, prostując kilka faktów z historii i kilka szczegółów z literatury w ogólnej rozmowie, którą prowadziła w jego obecności, wygłaszając ze stanowczością wyroczeni bardzo fałszywe czę-

sto sądy i zdania, z pretensją do głębokości i wielkiego odczytania.

— Zarozumialec!—mówiła o nim;—lubi się, jak student popisować ze swemi wiadomościami i myśli, że już wszystkie rozumy pozjadał dlatego, że liźnął trochę nauki w uniwersytetach zagranicą. Człowiek *comme il faut* nie poprawia kobiety w liczniejszym towarzystwie, nawet gdy się pomyli!.. Wolno mi przecież nie wiedzieć, czy Słowacki był żonatym, byłem znała jego „W Szwajcaryi“ i „Irydion.“

Polapała się sama, że zrobiła nową omyłkę i zatarła ją natychmiast uwagą:

— Ach, prawda!.. „Irydion“ to nie jego, a szkoda, bo byłby go napisał wierszami. Ja teraz czytam tylko Anatola France'a i dajcie mi pokój na jakiś czas z całą polską literaturą!

W Dobrojewską starała się wmówić, że narzeczony Misi jest dla niej nieodpowiedni na męża.

— Moja droga, on jest za poważny,—przekładała jej w poufnych zwierzeniach; za poważny mąż musi prędzej czy później znudzić młodziutką żonę. Przypomnij sobie tylko swoje własne małżeństwo!.. Czuć się ciągle tylko pensyonarką wobec pana profesora, który jak z katedry wygłasza swoje poglądy, ciągle uczy, rozprawia, poprawia, egzaminuje, to z czasem zmęczy. Dałby Bóg, abym się pomyliła, ale zobaczysz, że to musi nastąpić!

— Cóż robić, kiedy go kocha!—tłumaczyła się Dobrojewska.

— Ach, kocha, kocha!.. wszystkim głupim dzierlatkom w wieku Miszetki wydaje się, że są zakochane na zabój! Nam się to także nie wydawało swego czasu?... Przypomnij sobie! A ja ci powiadam, że najlepiejś zrobiła, wydając ją za Julka Dobrojewskiego!

Wstępowało się tedy na tę ciernistą i niewdzięczną drogę z istotnego powołania, mówiąc sobie, jak „Gwido“ Jabłońskiego:

— Pójdę tą drogą, choćby przez płomień!..

Kto w sobie takiej siły zaparcia nie czuł, do takiego poświęcenia nie był zdolnym, nie miał w sobie tego „coś,“ co w nim „pokutowało,“ wybierał wówczas inny zawód i nie zaciągał się w szeregi „chudych literatów,“ którzy miewali „sonet na obiad, odę na śniadanie.“

Komu losy łaskawiej sprzyjały, ten najczęściej kojarzył z sobą dwa zawody,—jeden mu dawał kawałek powszedniego chleba, drugi sławę; bywało się urzędnikiem, nauczycielem, aplikantem; miało jakiś szmat ziemi po ojcach albo kapitalik z otrzymanej schedy, posiadało bogatych krewnych, którzy wspomagali, lub też znajdowało możnych „protektorów,“ którzy uważali sobie za punkt honoru wspierać głodną literaturę.

Z samego pióra nie podobna było wyżyć, nawet przy najskromniejszych wymogach.

Poprawiły się stosunki od owych czasów, to prawda, ale pomimo dużego postępu i dzisiaj jeszcze nie jeden z ludzi utalentowanych

i uznanych, nie jeden pisarz nawet rozgłośny i poczytny, miewa chwile, w których, jak Mickiewicz, zanoszą cichaczem zegarek lub szpilkę złotą do zastawu, jeżeli inną pożyczką na razie ratować się nie może.

O majątkach literackich, zebranych tylko piórem, nie słyszałem i nie wierzę w ich istnienie; unikatem, białym krukiem, porośłym w srebrne pierze po pięćdziesięciu latach ciężkiej pracy, był u nas chyba tylko jeden Kraszewski, a i jego fortuny podstawą nie były przecież same oszczędności z autorskich honoraryów, lecz część rodzinnego majątku, która mu z działów przypadła.

Najświetniejsze pozory egzystencji literackiej rozwiewa zwykle śmierć, zamykająca bilans dochodów i rozchodów ludzi pisarskiego cechu; dopóki żyli i mogli pracować normalnie, zarabiać na utrzymanie swoje i swej rodziny, póty uważano ich za dostatnich, podejrzewano nawet o zamożność, spoglądano na ich całe buty i przyzwoity garnitur często zawistnym okiem, posądzając ich o „ogromne dochody,“ o zbijanie grosza, o ukrywane kapitały.

Aż tu pewnego dnia rozchodzi się wiadomość o ich nagłej lub niespodziewanej śmier-

— Zkądże znowu!.. najpierw to kuzyn, bardzo blizki, a potem Julek to żadna partya; co miał, to puścił, a co jeszcze dostanie po dziadkach i po stryju, to także puści. Nie, nie,—nie rozumiem nawet, z kąd ci to do głowy przyszło, moja Elzo!

Wzruszała ramionami, robiła minę zdziwioną, jakby jej pojąć było trudno taką kombinację.

— Julek i Miszetta!.. dajże pokój! Oni się nawet nigdy nie mieli ku sobie. Ale! ale!.. Julek i Misia?... ani mowy!.. Lubią się, bo się znają od dziecka; jabym przecie była zauważyła okiem matki, gdyby się tam na co zanosilo. Ale nigdy, nigdy, *je t'assure Elsa!*.. Z Tanieckim to zupełnie *autre chose*. Na niego Miszetta podziałała od razu, jak *un coup de foudre!*.. zdaje mi się, że był w niej zakochany, zanim z nią rozmawiać zaczął.

Palewska mrużyła jedno oko i spoglądała ironicznie na przyjaciółkę, mrucząc pod nosem:

— Uhm!.. ty wiesz swoje, a ja wiem swoje.

Wreszcie z westchnieniem rezygnacji powiedziała raz do niej:

— Ha, rób, jak chcesz!.. ja się nie mieszam. Spełniłam swój obowiązek, jako jedyna twoja przyjaciółka, reszta do mnie nie należy. Zaprosisz mnie na wesele,—przyjdę; niech sobie Miszetta będzie Taniecką, czy jakąkolwiek, jeśli ma być szczęśliwą, ale otwarcie ci wyznaję, że wolalabym ją widzieć za Julkiem Dobrojewskim. Jakos mi się wydaje, że byliby bardziej dobraną parą.

— Zdaje ci się!

— Być może; w każdym razie miałabys tę korzyść, że nawet znaków na bieliznie nie potrzebowałabys zmieniać, bo zostałoby

ci i po redakcyach zaczyna krążyć lista składek „na ostatnią posługę dla zmarłego kolegi;“ ludzie dobrego serca urządzają koncert lub przedstawienie na korzyść pozostałej wdowy i sierot nieboszczyka; wierzyciele zgłaszają się do wydawców i rodziny zmarłego z zapytaniem:

— No, co teraz będzie?... kto zapłaci?... pan przecież ręczył za niego!..

I ludziska zaczynają się dziwić, że taki literat, taki wzięty dziennikarz, znany, poczytny, umarł prawie w biedzie, że nie zostawił po sobie nawet na pogrzeb,—ba!.. zarwał swoich wierzycieli i poszedł *ad patres*, nie splaciwszy ostatniej raty prolongowanych weksli.

Wtedy też najczęściej powtarzają się tanie frazesy o literackiej nieogłędności, o życiu nad stan, o lekkomyślnej gospodarce koników polnych, etc., etc.

— To niepodobna, żeby nie zostawił majątku!—wołają jedni,—tyle przecie zarabiał!.. tak mu dobrze płacili!.. Za ostatnią powieść wziął 10,000 rubli!

— Piętnaście!—poprawiają żywo drudzy.

— Trzydzieści!—krzyczą inni z taką pe-



Ale gdy ludzkich serc nadzieje  
Zmrozi lodowa noc,  
Wtedy już serc tych nie rozgrzeje  
Żadna słoneczna moc.

Stanisława Dąbrowska.



## HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpińską.



(Ciąg dalszy).

Takie wyjątkowe kobiety otaczały Cezara przez całe życie. Nie tylko na polu wojennej i politycznej działalności, ale także w stosunkach domowych świeciła mu stale jego szczęśliwa gwiazda, — kobiety dały mu wszystko, co mężczyźni dać może piękna dusza kobieca. W rodzinie jego przeważała płeć żeńska: ojca zastępowała mu matka, braci — siostra, Aktia, której potomek następcą jego został, synów też nie miał, tylko ukochaną córkę Julię, cnotliwą a piękną, a młodo zmarłą, żonę Pompejusza. W małżeństwie trafiał szczęśliwie: Kornelia, córka Cynny, którą po niedługim pożyciu utracił, przymiotami swemi zasłużyła sobie na to, że na cześć jej sam ułożył panegiryk żałobny, jedno z arcydzieł swej wymowy. Pojął potem ze względów politycznych Pompeję, z którą się rozszedł, ale nie dla jej złego prowadzenia się, tylko z powodu wysokich wymagań, jakie miał co do dobrej sławy niewiast swego domu. Podczas niewieściego obchodu święta Cerery, zakradł się był do świątyni pomiędzy

matrony, przebrany w kobiece szaty zuchwały młodzieniec, aby się zbliżyć do Pompei, w której był rozmiłowany. Skorzystały z tego złośliwe języki, aby ją pomówić o lekkomyślne przyzwolenie na tak naganną igraszkę. W skutek tego mąż oddalił żonę, wyrzekłszy dumne słowa: „Małżonka Cezara nie powinna być nawet posądzaną;“ — dodał jednak, że sam nie podejrzewa jej o nic złego.

Ostatnia jego żona, Kalpurnia, córka Pizona, była nie tylko cnotliwą, ale nawet uchodziła za uczoną. Miała przytem serce tklliwe kochające i wysoce wrażliwe, które niepokój o życie małżonka doprowadził do napięcia nadnaturalnych objawów — bolesnem przecuciem przewidziała katastrofę: Wychodzącego na fatalne posiedzenie Cezara błagała i zaklinała, aby nie szedł, bo go we śnie widziała zamordowanego. I Cezar już się wahał, ale obecny Brutus, lękając się, aby odwłoka nie zniweczyła zamiaru spiskowców, użył zręcznego sposobu: zażartował, że dyktator wtedy będzie chodził na radę Senatu, kiedy Kalpurnii przyśni się coś przyjemnego. Słowa te popchnęły Cezara na sztylety morderców. Jak każdy mężczyzna, wielki czy małuczki, obawiał się śmieszności, którą przesąd okrywa męża, jawnie ulegającego żądaniu żony; gdyby nie ta słabostka, jasnovidzenie kochającej kobiety, byłoby mu uratowało życie.

Wśród zacnych kobiet z rodziny Cezara, należy się także zaszczytne wspomnienie wnuczce jego po Aktii, a siostrze Augusta, Oktawii, zaślubionej Antoniuszowi. Poważny jej wpływ polityczny był prawdziwie kobiecy — uśmierający i pokój czyniący. Szlachetność jej charakteru ujawniła się wybitnie i niezwykajnie w sposobie, jakim traktowała upokarzające wiarołomstwo swego męża. Wobec ciekawie zwróconej uwagi całego swia-

to samo nazwisko!... — dokończyła ze śmiechem.

— Tak, to prawda!... ale też tyle tylko miałabym zysku z takiego zięcia. Nie, nie, nie, nigdy!... Zięć literat?... bój się Boga!... musiałabym jeszcze czytać to wszystko, co on nagryzmoli. *Bien merci!*... Podobno chwala to, co on wydrukował, ale ja ci powiem pod sekretem, że ani jednego wiersza dotąd nie czytała. Może jeszcze powiesz, że ma talent?!...

— Czemu nie?!

— A co!... wiedziałam. Tyś gotowa zrobić z niego drugiego Sienkiewicza!

Zaczęła się śmiać na całe gardło i ścisnąć swoją najpocziwszą Elżę, obracając w żart jej swatostwo i słabość dla Julka Dobrojewskiego.

(Ciąg dalszy nastąpi).



*Kiedy w lodowe...*

Kiedy w lodowe swe ramiona  
Pochwyci zima świat,  
Drętwieje wszystko, wszystko kona  
Robaczek, motyl, kwiat.

Ziemia zmartwiała, zimna, blada,  
Bez czucia i bez sił,  
I smutek wieje i zagłada  
Z stężalych, martwych brył.

Lecz oto złoty promień słońca  
Z niebios przestrzeni mknie,  
I jak oszczepem bryły trąca  
I życie w ziemię tchnie.

wnością, jak gdyby sami pieniądze te przeliczali.

Padają cyfry coraz wyższe, zaczyna się obliczanie dochodów nieboszczyka, nicowanie jego pamięci i kieszeni, wypominanie mu lada kolacyi, którą zjadł u Stępka lub Millera, na dowód, że trwonił pieniądze, nie umiał żyć oszczędnie, nie lubił się rachować.

A tymczasem ściślejsza analiza wykazałaby duże błędy w takim rozumowaniu opinii publicznej.

Nikomemu nie przyjdzie na myśl stwierdzić w pierw przytaczane daty i fakta i zapytać:

— Po czemu też literatom, nawet najpoczytniejszym u nas płacą od wiersza i od tomu?... czy naprawdę na wagę pereł uryńskich wynagradzają natchnienia poetów?... czy najpłodniejszy pisarz wylewa milion, czy tylko sto wierszy dziennie i czy jest zdolnym nieustannie machać piórem, z pod którego wydawcy wyrwyją natychmiast jego rękopisy?...

Gdyby spytano tak, możeby odpowiedź sprostowała znacznie mylne wyobrażenia o dochodach literatów i dziennikarzy, a potem możeby też rozgrzeszono nie jednego nieboszczyka z zarzutu nieopatrzności i z tego, że położył się do grobu w składkowej trumnie,

a sierotom swoim zostawił... chustkę przyjaściół do otarcia zażawionych oczu.

Nie każdemu zapewne wiadomo, że u nas normą honoraryów od wiersza jest jakieś trzy lub cztery kopiejki, że za powieść lub studium płaci się pięć, a tylko wyjątkowo dla wybranych ceny te podnoszą się do dziesięciu, z prawem odbitki do piętnastu.

Nababów, którzyby powieściopisarzy i feljetonistów tak hojnie wynagradzać mogli, niema, niestety, wielu w naszej prassie i wśród naszych wydawców; — na ten zbytek pozwolić sobie mogą dwa lub trzy pisma; z przywileju takiego korzysta też kilku, może kilkunastu głośniejszych autorów, „na których się nie traci“ i którym warto sowiej zapłacić.

Większość dzienników, tygodników, miesięczników musi się trzymać systemu oszczędności; redaktor zazwyczaj drapie się w głowę, wydawca zciąga ramiona, mówiąc:

— Ach, drogi panie, my nie możemy podnieść honoraryów i musimy końce wiązać z sobą. Pismo nie przynosi jeszcze dochodów, prenumerata zwiększa się bardzo powoli... może później, po Nowym Roku, gdy się tylko nasze interesa poprawią...

I po większej części mówią to zupełnie szczerze, z dobrą wiarą, oczekując ciągle tych

lepszych czasów, w których konkurencja nie będzie pochłaniała wszystkich dochodów wydawnictwa a pismo przestanie być narażonem na niedobory.

Są i tacy, którzy udają, zasłaniając się wymówkami, aby uniknąć „wyzysku współpracowników;“ ci mają na księgach administracyjnych dewizę:

— Im lepiej, tem gorzej! — i skarżą się nawet wtedy, gdy zdwajają liczbę prenumeratorów, — ale takich bywa nie wielu.

Jeżeli zatem ci najlepsi opłacani są nie szczególnie, nawet jak na nasze warunki, łatwo sobie wyobrazić dochody nie najlepszych, żołąd literackich i dziennikarskich szeregowców, którzy tak często zadawałać się muszą kopiejką lub dwoma kopiejkami od wiersza, drząc, aby im redaktor artykułów „nie obcinał“ i nie okrawał tego kawałka chleba z dnia na dzień.

A teraz weźmy kredkę do ręki i obliczmy zarobki wybrańców, tych uprzywilejowanych i firmowych pisarzy, których się rzekomo przeplaca, a którzy powinni „świetnie stać“ i robić majątki piórem.

Rachunek bardzo prosty.

Wyobraźmy sobie, że zdarza się, jakiś *rara avis* wśród polskich autorów, który — o rado-



ta, Antoniusz wzgardził jej młodością, pięknnością, miłością i cnotą dla egipskiej koronowanej zalotnicy; na żądanie Kleopatry odrzucił nawet posiłki, które dla niego własnym kosztem zebrał, na pomoc po przegranej z Partami sama przyprowadziła; a ostatecznie przez niego odepchnięta i odrzucona, chociaż miałyby wszelką możność zemścić się, przyspieszając jego upadek, nie skorzystała z okoliczności, lecz usunawszy się z politycznej widowni, całkowicie oddała się wychowywaniu nie tylko swoich, lecz i Antoniuszowych dzieci. Młoda jeszcze będąc, nie chciała więcej ponawiać próby szukania szczęścia w małżeństwie; a było to wyjątkowo w owym czasie, gdy wielokrotne zrywanie jednych związków dla drugich stało się rzeczą zwyczajną.

Zdarzały się stadła, w których obie strony miały po kilka żon i po kilku mężów poprzednio, kolejno opuszczanych dla nowego małżeństwa. I właściwie mówiąc, małżeństwo z ostatniego okresu Rzeczypospolitej, było już tylko uprawnioną formą wiarołomstwa. Mąż odprawiał żonę pod byle jakim pozorem, skoro tylko zapragnął pojąć inną, żona także łatwo opuszczała męża, wracając pod władzę swej rodziny, która ją wydawała za drugiego. Nie było więc właściwego węzła małżeńskiego, skoro związek mógł każdej chwili być zerwanym i zmienionym na inny, równie także niepewny i nietrwały. A wzajemny do siebie stosunek mężczyzn żonatych i zamężnych kobiet stawał się coraz wolniejszym; wyraz *cudzy* mąż i *cudza* żona przestał być krępującym, skoro wiadano, że w razie powstania skłonności lub interesu dwie pary mogą się rozłączyć, a nowa para skojarzy się z sankcją religii, prawa i zwyczaju, przyjmujących z zupełną tolerancją ten nowy rodzaj usystematyzowanego nierządu.

Co się tyczy jednożeństwa, istniało ono tylko w tym sensie, że rzymski obywatel zaślubił legalnie rzymską obywatelkę, równego z nim rodu, bo tylko potomków z takiego związku, dziedziczących szlachetne pochodzenie po przodkach z obu linii, państwo przyjmowało do kompletu uprzywilejowanych rzymskich obywateli. Ale po za tem stosunki nielegalne były tak jawne i tak za rzecz naturalną traktowane, a przytem każdy pan domu mógł mieć tak liczny harem niewolnic, że trudno tu dopatrzeć zasadniczej różnicy z wielożeństwem ludów wschodnich; bo i u tych także była zwykle jedna główna małżonka, równa mężowi rodem, matka jego dzieci i pani domu; ale mając i inne kobiety, przynajmniej jawnie nazywali to wielożeństwem.

Pomimo takiego rozluźnienia więzów etycznych, a raczej właśnie dlatego, — bo w tych rzeczach zawsze sprawdza się przysłowie, że żarłoczności przybywa w miarę objadania się („l'appétit vient en mangeant“), — namiętności nie zadawały się tak szerokimi ustępstwami, lecz przeciwnie, rozpętywały się coraz gwałtowniej, aż nakoniec demoralizacja przeszła wszelkie granice.

I te same Rzymianki, które za starorzymskich czasów piękny przykład surowej cnoty mężów swych w życiu publicznym, pięknie stosowały, jako surową cnotę w życiu domowym, poszły i teraz — jak zawsze bywa w zakresie obyczajów — w wydeptane męzkim krokiem ślady. I nie tylko dorównały im prawie haniebnem nurzaniem się w bagnach rozwiązłości, ale zdjęły nawet zwykłą kobiecą maskę konwencyonalnej przyzwoitości, bo czego nigdy, nigdzie nie bywało, jawnie bezwstydem swoim popisując się, chlubiły się nim i chępiły, jako wykwittem ówczesnego modernizmu.

Zachowanie się mężów względem rozpustnych żon było zadziwiająco pobłażliwym, tembardziej, że posiadali oni nad nimi prawo sądu i kary. Żona de jure znajdowała się względem męża w tym samym stosunku, co córka względem ojca, czyli była mu podwładną bez ograniczenia: pater familias miał w domu swoim władzę życia i śmierci. Ale faktycznie używanie całej rozciągłości przywileju zdarzało się bardzo rzadko; mąż zadawał się zwykle oddaleniem nieobyczajnej żony, a nieraz też bywało, że patrzył przez palce na jej złe prowadzenie się, udając, że nie wie o tem, o czem wiedziało całe miasto. Względy takie jak wiano żony, albo jej rodzinne stosunki, przeważały szalę czci domowego ogniska, a honor rodziny występował dopiero wtedy, gdy można go było użyć, jako pretekstu, skoro dla innych powodów rządów stawał się pożądanym.

Dziwny — a jednak konsekwentny — wyrażał się z tego stosunek ojca do potomków. Autentyczność ich pochodzenia tak często bywała podejrzaną, że ostatecznie ojcowie przestali tem sobie głowę suszyć, i powiedzieli sobie, iż równie dobrem dla porządku państwowego, jak synowstwo rzeczywiste, jest synowstwo fikcyjne. I tak weszło w coraz częstszy obyczaj i stało się ciągle stosowaniem prawem ojcowstwo przez przybranie, czyli adoptacya. Syn przybrany stawał się legalnie *prawdziwym* synem i dziedzicem, na równi z synem rodzonym, który częstokroć także tylko legalnie był *prawdziwym*, i miał w tym wypadku tę niższość względem pierwszego, że tamten był dobrowolnie wybranym, a ten narzuconym.

Głos krwi jednakże nie jest całkowicie wymysłem melodramatów — i jest w tem cząstka prawdy, że zwykle sama natura wzbudza skłonność ku tym, którzy są nam bardziej od obcych

ści! — zarabia rocznie 5—6000 rs.; podzielnym to przez przeciętne honorarium od wiersza w stosunku sakramentalnych 5 kopiejek, iloraz wyniesie 100,000.

Co to znaczy?...

To znaczy, że ów szczęśliwiec musi w ciągu roku napisać i wydrukować sto tysięcy wierszy!...

Bagatela!

Wiecie, ile to obejmuje tomów?.. przeszło dziesięć, i to nie cienkich tomików, ale tomów dwudziesto-arkuszowych.

Dziesięć tomów rocznie, do których treści trzeba wytoczyć z głowy, wysmażyć z mózgu, wycisnąć z twórczego talentu!...

Spróbujcie je tylko przepisać a zobaczycie, ile to pracy kosztuje, ile foljałów papieru wam zajmie.

A przecież stale, rok w rok, niepodobna bez wytechnienia w ten sposób prowadzić forsownego gospodarstwa myśli i produkować samych arcydzieł, nawet jeśli się jest niepopolicie płodnym geniuszem.

I za to wszystko można mieć owych 5—6 tysięcy rs. rocznego dochodu, przy którym chodzi się wprawdzie w całych butach, mieszka jako tako, jada ze trzy razy dziennie, utrzymuje we względnych pozorach zamożno-

ści dom i rodzinę, ale nie można robić zbyt-ków i składać majątku.

Stanowisko towarzyskie, stosunki, życie, świat, wymagają od tego intelligentnego pana, który jest nie byle kim, — ale przedstawicielem naszej literatury i prasy, pewnych warunków, wyróżniających go od robotnika, rzemieślnika, urzędnika; *il faut être et paraître*, jak powiadają Francuzi, tem bardziej w społeczeństwie, które nie darmo wytworzyło maksymę: „Jak cię widzą, tak cię piszą.“ Niepodobna pokazywać się ludziom zaniedbanym, w stylu dawnych chudeuszów i głodomorów literackich; trzeba dbać także o jakie takie pozory.

A teraz porównajcie tylko inne zawody pod względem materialnych zysków z tym zawodem podobno najszlachetniejszym i tak zaszczytnym, uprzywilejowanym, wymagającym wyjątkowych warunków, wyjątkowej indywidualności i wrodzonego talentu, zdolności, przygotowania, studyów, nb. jeżeli się go traktuje poważnie i z godnością, jeżeli się nie jest gryzpiórkiem, ale pisarzem w właściwym tego słowa znaczeniu.

Nieraz korzystniej by było zostać mydlarzem, browarnikiem, kupcem, kantorowiczem, księgarzem lub jakimkolwiek innym procedo-

rzystą; miałyby się i życie spokojniejsze, i kawał chleba pewniejszy, i starość zabezpieczoną.

Porównajcie dalej dolę literata lub dziennikarza polskiego z losem i warunkami egzystencji autorów, publicystów, uczonych zagranicą; tak często lepiejby było być prywatnym sekretarzem jakiej pisarskiej znakomości w Paryżu, Berlinie, lub Wiedniu, aniżeli znakomością literacką w Warszawie, Lwowie, lub Krakowie.

Wiem z góry, co odpowiecie mi na tę uwagę. „Wedle stawu grobla!“ — Co innego u nas, a co innego zagranicą; na tę różnicę składa się tyle innych różnic kulturalnych, społecznych, ekonomicznych, cywilizacyjnych.

To prawda, ale z tem wszystkiem żadna literatura, żadna prasa nie roi się od samych geniuszów i gdyby przeprowadzić ściślejszy obrachunek pomiędzy wielkimi talentami twórczemi a tą resztą, wśród której się wyróżniają znakomitsze firmy o szerokim rozgłosie we Francji, w Niemczech, w Anglii, lub gdziekolwiek, to okazałoby się, że procentowo jest ten stosunek mniejszy, aniżeli u nas, że na ogół przypada tam o wiele więcej miernot, przeciętnych użyteczności, pisarków trzecio i czwartorzędnych, o których co



podobni dziedzictwem po wspólnych przodkach jednakich cech temperamentu lub charakteru. Wyjątkowo tylko blizcy stają się dalekimi, a dalecy—blizkimi, w zwykłym zaś biegu ludzkich spraw i stosunków popęd rodzinny większą gra rolę, niż powinowactwo wyboru. Mieli więc i Rzymianie tę skłonność przyrodzoną, a gdy możność zwracania jej w najbliższą stronę—ku potomkom w prostej linii—tak anormalnie zwichnięta została, popęd naturalny, jak zawsze—gdy mu koryto zatamują—wyżłobił sobie inne łożysko, i zwrócił się ku liniom bocznym, pokrewnym po kądzieli, a więc niewątpliwie autentycznym. Znaną jest sympatya Rzymian dla siostrzeńców. Dzieci siostry miały pierwszeństwo przed dziećmi brata, siostrzeńcy bywali wujom bliżsi, niż synowcy, rodzina z linii żeńskiej droższą, niż krewni po mieczu, a to—ma się rozumieć—dlatego, że w potomstwie siostry płynęła napewno krew własnego rodu, gdy potomkowie brata mogli być tylko—dziećmi bratowej.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Pokój dziecka.



Wobec coraz wzrastającego w przeciagu ostatnich lat pięćdziesięciu rozwoju higieny wśród najbardziej cywilizowanych narodów europejskich, i u nas duży widzimy na tem polu postęp. Szeroki ogół pragnąłby uświadomić się co do wszystkich jej przepisów i słusznie—gdyż więcej, niż każda inna nauka, higiena powinna przeniknąć w najszersze

warstwy społeczeństwa, aby naprawdę stała się pożyteczną. Niestety, jednak dotąd, więcej jest takich, co znają teoretycznie przepisy higieny, aniżeli tych, którzy stosują je z dokładnością i cierpliwością w życiu codziennem. Pożytecznem więc jest przypominać ich doniosłość dla naszego zdrowia fizycznego i w tym celu zamierzamy dawać czytelnikom niektóre wskazówki co do higieny dziecka.

Jest to dział higieny najdonioślejszego znaczenia, gdyż od tego, jak byliśmy chowani w dzieciństwie, zależy po większej części zdrowie naszego wieku dojrzałego. Dzielnosć fizyczną, odporność na szkodliwe wpływy warunków życiowych znajdujemy przeważnie u ludzi odpowiednio w dzieciństwie chowanych i hartowanych.

Ponieważ zaś mieszkamy w klimacie, w którym dziecko, a szczególnie niemowlę, skazane jest na długie zamknięcie w pokoju, postaramy się więc wskazać, jaki ma być ten pokój, aby przy wielkiej wrażliwości ustroju dziecięcego, nie był on przy tak długim braku otwartego powietrza zbyt na szwank narażony.

Otóż dla dziecka należy zawsze wybierać pokój najzdrowszy z całego mieszkania. W mieście zwykle lepsze są pokoje od ulicy, niż od podwórza, które najczęściej jest małe i w skutek tego powietrze trudniejszy ma tu dostęp.

Okna powinny wychodzić na południe, od biedy na wschód lub zachód, nigdy jednak na północ. Przedewszystkiem trzeba mieć na pamięci, że dla dziecka niema nigdy zanadto światła. Już w odległej starożytności wiedziano o tem, i Grecy leczyli dzieci słabowite kąpielami słonecznymi. Doświadczenia wykazują, że wydzielanie kwasu węglowego, t. j. przemiana materji wzmagają się, jeżeli światło pada nie tylko na oczy, ale na całe ciało.

U dzieci małych, trzymanyh w pomieszczeniu ciemnem, temperatura ciała obniża się, to znaczy, że przemiana materji jest powolniejsza, czyli że ustrój dziecka gorzej się odżywia.

W mieszkaniach ludzi mniej zamożnych, gdzie dzieci dzielą pokój sypialny z rodzicami, wybrać zawsze należy miejsce najbliższe okna, gdzieby światło padało na łożeczko. Wszelkie alkozy zamknięte powinny tu być zupełnie wykluczone. Słońce bowiem to najlepsza dezynfekcja mieszkania, oczyszcza ono powietrze z bakterji, a znanem jest ogólnie, że wyziewy z płuc i skóry daleko dłużej się utrzymują w pokojach ciemnych, a nawet w takich, co mają okna od północy. Wszyscy to chyba wiedzą, że jednym z powodów, dla czego dzieci klasy ubogiej tak często bywają bezkrwiste, skrofuliczne, jest okoliczność, że mieszkają one w ciemnych suterrenach.

Możnaby tu postawić zarzut, że nadmiar słońca źle wpływać może na wzrok niemowląt. Zbytńia to jednak obawa. Tylko w pokoju noworodka należy przysłonić okna, przyzwyczajając go zaraz w pierwszych dwóch tygodniach życia do coraz silniejszego światła.

Nie należy również kłaść niemowlęcia bokiem do światła; nie mogąc się bowiem obracać, ani głowy wykręcić, uczy się patrzeć jednym tylko okiem i łatwo wówczas może stać się zezowate. Dla tej przyczyny tak zawsze łożeczko stawiać należy, aby światło padało prosto na głowę.

Widzimy więc, że dla zdrowia dziecka potrzeba, aby pokój był słoneczny—niemniej jednak ważnym szczegółem, aby mieszkanie odpowiadało higienicznemu warunkom, jest racjonalne jego przewietrzanie. O tej to kwestji rozpiszę się obszerniej, gdyż często bardzo spotykamy matki, które z obawy zazię-

prawda nie wiemy i nigdyśmy nie słyszeli, bo tylko sława, rozgłos, wziętość tych „wyjątkowych“ do nas dochodzą, tylko najlepsi i najwięksi są zdaleka widoczni.

Iluż jednak lichych skrybentów, grafomanów, pośmieszków literackich przypada na jednego znakomitego autora, poetę, dramaturga, belletrystę w tych samych krajach, które nam imponują swoją wyższością twórczą!.. a ilu u nas?..

Takie obliczenie i zestawienie byłoby bardzo ciekawe i pouczające, a może i bez wielkiej zarozumiałości moglibyśmy sobie wówczas powiedzieć, że w danych warunkach rozwój naszej literatury i prassy nie jest znowu tak lichy, jak się nam wydaje i że kto wie, czy w korzystniejszym położeniu, przy pomysłniejszych wpływach i środkach te same siły pisarskie, te same zdolności, tak często marnowane i rozprasane, wyzyskiwane, na innym gruncie i w innej atmosferze nie rozbłysnęłyby większym blaskiem i nie nabrały większej mocy, dzielności i siły twórczej.

Walka o byt, walka o chleb powszedni, ciągła troska o jutro, ciągle kłopoty o materialną stronę życia, konieczność przepracowywania się z dnia na dzień, nieustanny wy-

silek i potrzeba różnorodności zajęć, wytwarzają dla literata i dziennikarza polskiego sytuację anormalną, w której pracować prawidłowo, tworzyć spokojnie, w skupieniu, nie na każde zawołanie, ale tylko w chwilach prawdziwego natchnienia, staje się niemal niepodobieństwem.

I cóż dziwnego, że w tak nieprzychylnych warunkach tyle nie donoszonych plodów, tyle zepsutego materiału, tyle poronionych pomysłów, tyle gorączkowej roboty bez wartości zapełnia nasze książki i łamy naszych pism.

Prowadzić musimy rabunkową gospodarke naszych talentów, zdolności, umysłów, tworzymy za dużo, za szybko, bo trzeba żyć z pióra, z dnia na dzień pracować bez wyczynku za lichą zapłatę, która ledwie na chleb powszedni wystarcza.

Kiedy przed laty kilkunastu Sienkiewicz za wiersz druku swojej nowelli „Ta trzecia“ otrzymał półtora rubla honorarium, (było to, co prawda, raz jedyny w dziejach wydawniczych u nas) sprawiło to wrażenie czegoś nadzwyczajnego, niepojętego, olśniewającego.

U nas dziwowano się temu, jak jakiejś monstrualnej hojności nakładców i śmiałości

niepojętej autora, który sobie aż tyle zapłacić kazał od wiersza.

Okazało się, że kalkulacja wytrzymała i że wydawcy nie stracili.

Pomiędzy wieloma zasługami na polu piśmienniczym i społecznym Sienkiewicza, trzeba jeszcze i tę jedną, nie podnoszoną dotychczas zaznaczyć, że od jego „Trylogii“ zaczęły się poprawiać i dla innych warunki wynagrodzenia literackiego; podniosła się norma honoraryów, na czem i mniejsi jego koleldzy zyskali.

Jest lepiej, niżeli było, ale do dobrego jeszcze daleko.

Przedewszystkiem zwyczaj wynagradzania od wiersza druku, ocenianie pracy pisarskiej na ilość, nie według jakości, wyzyskiwanie autora na korzyść wydawcy i księgarza, jest rzeczą nie tylko niesprawiedliwą, ale i demoralizującą.

I nad tem wartoby się zastanowić, wartoby pomyśleć o reformie na wzór zagranicznych stosunków, w interesie nie tylko niewolników pióra, ale i samej literatury, i samego dziennikarstwa.

Quis.





bienia dzieci, wprost zatruwają ich ustrój zepsutą atmosferą niewietrzonego pokoju.

Jako podstawową zasadę przy używaniu pomieszczenia, postawić należy: że w pokoju zamieszkanym powietrze się psuje, t. j. traci pożyteczny dla życia pierwiastek: tlen, a wzbogaca się w parę wodną, kwas węglowy, oraz w nieznanne bliżej lotne ciała pachnące, które w wysokim stopniu psują powietrze i stają się szkodliwymi dla zdrowia. Zubożenie w tlen powietrza, jakkolwiek teoretycznie możliwe, praktycznie jednak bardzo rzadko dochodzi do skutku, bo ilość znajdującego się w powietrzu tlenu jest bardzo znaczna, a i my wydychamy  $\frac{4}{5}$  pochłoniętego tlenu. Najważniejszą jest więc rzeczą nagromadzenie w powietrzu kwasu węglowego, pary wodnej, a także tych innych substancji, o których wyżej była mowa. Nagromadzenie pary wodnej w powietrzu spowoduje wilgoć, co nieraz obserwować możemy. Wiadomo, że w pokojach, uprzednio suchych, nieraz powstaje wilgoć, jeśli mieszka w nich dużo osób i są one źle przewietrzane. Substancje lotne, o których mówiliśmy, są nieraz wprost zabójcze dla naszego zdrowia. Nagromadzeniem tych substancji tłomczą się np. wypadki omdlenia w pokojach źle przewietrzanych. Co się tyczy kwasu węglowego, to ten sam przez się szkodliwym nie jest, przynajmniej w takich ilościach, w jakich się w powietrzu spotyka. Jeżeli jednak oceniamy wartość powietrza według zawartego w nim kwasu węglowego, to dlatego, że im go więcej w powietrzu, tem zawiera ono więcej pary wodnej i innych szkodliwych dla zdrowia substancji. Zawartość więc kwasu węglowego w powietrzu jest dla nas wskaźnikiem jego dobroci. Powietrze na polach i miejscach otwartych zawiera 0.3—0.4% (3—4 na 10,000 części) kwasu węglowego. Otóż przyjętą jest rzeczą, aby powietrze pokoju nie zawierało więcej, niż 0.7% (7 na 10,000), każdy nadmiar jest już dla wyżej wspomnianych powodów dla zdrowia szkodliwym.

Na zasadzie prostych obliczeń dojść można do przekonania, że człowiek dorosły potrzebuje na godzinę 100 metrów sześciennych powietrza, dziecko 12-letnie 75 metrów, dziecko 8-letnie 60 metrów, dla dzieci młodszych około 40 metrów. Ponieważ nasze pokoje mają średnio około 60 metrów sześciennych objętości, więc widać z tego, że niema takiego pokoju, w którymby człowiek mógł mieszkać bez przewietrzania go. Jeżeli np. w pokoju objętości 60 metrów sześciennych mieszka człowiek dorosły i niemowlę, to musiałoby powietrze w nim być zmieniane co najmniej cztery razy na godzinę. W ten sposób całe życie zehodziłoby nam na wentylowaniu pokoju, gdyby na szczęście nie przychodziła tu w pomoc wentylacja naturalna.

Wentylacja ta zależy od różnicy między temperaturą pokoju a powietrzem zewnętrznym. Tak dla pokoju o wymiarze 60 metrów sześciennych przy różnicy temperatury 20°C. (rzecz w zimie codzienna) wentylacja naturalna przez szpary w oknach, pory w murze i t. d., wynosi na godzinę 60 metrów, co znaczy, że się w ten sposób powietrze odnawia całkowicie. Gdy różnica temperatury jest mała, np. 4°C., to wentylacja naturalna zmniej-

sza się również odpowiednio. Należy więc zawsze prócz tego raz na godzinę otworzyć okno w pokoju, tem bardziej, że obliczenia powyższe tyczą się pokoju malowanego farbą klejową, a nie wyklejonego tapetą, jakie to pokoje u nas najczęściej się spotyka. Dalej widzieliśmy, że pokój rozmiaru 60 metrów sześciennych powinien mieć dwa razy na godzinę zmienione powietrze. Jeżeli pokoje są mniejsze, co najczęściej się spotyka, to i wentylacja naturalnie jest znacznie gorszą, bo jak łatwo zrozumieć, zależy ona od wielkości ściany zewnętrznej. Z tego powodu daleko lepiej wentylują się drogą naturalną pokoje kwadratowe, niż podłużne, pokoje wysokie, niż niskie, i t. d.

(Dokończenie nastąpi).

D-r K.



## Nowa literatura francuzka.



(Dokończenie).

Naturalizm pogrążył duszę osobistą w morzu kolektywnym; nowy pogląd na świat domagał się jej praw; chciał ją oderwać od nacisku tłumu i znaleźć dla niej jakieś zacisze ku samopoznaniu i znalezieniu samej siebie.—Inicytorem tego kierunku był Paweł Bourget ze swym romansiem psychologicznym. Młodzi pisarze jakiś czas wywodzili się od niego; *nôtre aîné à nous tous*—mówiono o nim. Jednakże wpływ ten osłabł z dwóch powodów: naprzód, że Bourget rychło się wyczerpał i zaczął sam siebie powtarzać, a powtóre, że jego analiza prowadziła zawsze do wyników negatywnych -- i zabijała w ludziach wiarę w siebie. Psychologizm Bourgeta zawierał w sobie pierwiastek niszczący wolę i energię, — lubując się w obrazach bezsilności ducha ludzkiego. Następcy Bourgeta, chcąc ratować energię, doprowadzili zasadę mistrza do karykatury, jak to uczynił Barrès w swoim kulcie egoizmu. Kult energii i woli znaleźli młodzi poeci w pisarzu obcym, który wystąpił przeciw wielkiemu *progressus in simile*—w imieniu jednostki (Fr. Nietzsche).

Egotyzmu unikali naturaliści; nie mniej i na Parnasie był on potępiony. Leconte de Lisle uważał, że upadek poezji zaczyna się od chwili, gdy pierwszy raz poeta powiedział: Ja (Dante); należy wrócić do poezji nieosobistej—i taką była poezja Parnasowców. Zarzuty, jakie młodzież stawiała nawet tak szanowanemu pisarzom, jak Leconte de Lisle lub Sully Prudhomme — były analogiczne do zarzutów, stawianych Zoli. Wychowani na pozytywizmie Parnasowcy uważali fakt, jako istniejący sam w sobie poetycko, gdy właściwie fakt istnieje tylko, jako wyraz czegoś tajemniczego, t. j. jako symbol. Zatrzymywali się na stronie zewnętrznej bytu, co u Leconte de Lisle'a było zasadą estetyczną, gdyż wszelkie wejrzenie w głąb odkrywało mu próżnię (Nirwanę), albo też przechodzili w zimną dydaktykę, rzekomo na zasadach algebry i chemii opartą (Sully Prudhomme). Nadmierna ścisłość wyrażań, mówienie wszystkiego tak, że się nie zostawia marzeniu

(sugestyi czytelnika) — robiły z Parnasu rodzaj nowego klasycyzmu. Parnas rzeczywiście ograniczył rozezochranie romantyków, doprowadził ich tytanizmy i szaleństwa do granic zdrowego rozsądku (zwłaszcza Fr. Coppée)—i unikał marzenia, cudu, legendy, mistyki (za wyjątkiem C. Mendéza, którego poemat „Hasperus“ czytany jest wśród okultyistów). Pessimizm był dość powszechny wśród Parnasowców, ale ich Nirwana, to również była tylko negacja świata metafizycznego. I Parnas więc, jak naturalizm ograniczył lot ducha do sfery widzialnej i odtwarzał on pewną stronę życia, ale pominął sferę nadzyciową.

Objektywizm naturalistów nazywał się tu niewzruszonością (*impassibilité*), przeciwnie symboliści ze wzruszeniem rozważali byt, choć i w ich wzruszeniu pozostała pewna wyżyna, o której mówiliśmy pierwej. Dotyczy to dobra i zła, ponad którym stanęli symboliści, co ich chroni zarówno od optymizmu, jak i pessimizmu. Zresztą w tem stanowisku nie brak pewnej bierności w stosunku do fatum.

Nadto Parnas, doprowadziwszy kunszt rymopisarski do ostatecznych granic udoskonalenia—wywołał wśród swych adeptów nadmierną łatwość wierszowania, sztuczność ekspresji, wreszcie szablon i monotonię, zwłaszcza aleksandrynow (wierszy 12-zgłoskowych). Żadnego nowego akcentu nie podobna było znaleźć w tej prozody, szablon zacierał formę i indywidualność.

Jeden tylko Stefan Mallarmé wynalazł nową essencję ożywczą dla aleksandrynu — w nadzwyczajnej kondensacji zdań, metafor, składni, w poczuciu najdalszych analogii zjawisk, które poeta łączy w wyrazy, streszczając w nich całe szeregi wyrazów. Stąd pewna niejasność jego pism (*c'est un auteur difficile*—mówią o nim), ich tajemniczość i zwięzłość. Mallarmé, który wyszedł z Parnasu, choć z nim zerwał, zachował jednak pewne zasady Parnasowskie: mianowicie—podobnie, jak inni poeci tej grupy, a również i Baudelaire—uważał on za pierwiastek kierowniczy twórczości—świadomość absolutną celu i środków pracy; nie uznawał instynktu i naturalnej intuicji, ale samowiedną wolę, stwarzał, co stworzyć zamierzał; w związku z tem był on wyznawcą t. zw. *artificiel*, jako przeciwieństwa surowych rzeczy przyrodzonych i uważał mowę pisaną wogóle za język zupełnie oderwany od mowy codziennej; hieratyzm i tajemniczość tworzyły zwłaszcza z mowy wierszowanej—najwyższy kunszt człowieczy, nie prawie nie mający wspólnego z naturą. Mimo rozmaite naruszenia tradycji literackiej, Mallarmé niemal do końca zachował aleksandryn. On pierwszy za to używał świadomie symbolu.

Paweł Verlaine, drugi mistrz młodych pisarzy, był pod wielu względami przeciwieństwem Stef. Mallarmé. Był on wcieleniem twórczości nieświadomej, której nadawał zapach leśnego poranka — i tym zapachem przenikał swoje utwory. Miał on prostotę dziecka i dzikiego fauna zarazem; cywilizacja nader powierzchownie zdaje się dotknęła tę duszę i zachował w sobie coś z wędrownych spiewaków XIII w. Był to człowiek kapryśny



i w ciągłej walce z samym sobą, już to w grzechu pogrążony, już to oddany pokucie i modlitwie. Jeżeli bogiem Stef. Mallarmé był Hegel, to znów P. Verlaine modlił się do Maryi Dziewicy, której całą księgę litanij ofiarował (Sagesse). Jego estetyka opierała się na wewnętrznej melodii, która w danej chwili (impressyonizm) gra w piersi poety: z tego wynika, że poecie zostawiona swoboda tworzenia i układania własnych rytmów. Verlaine jednak zasady tej nie nadużywał; miewał on wiersze nierówne, krótsze lub dłuższe, ale rytm jego znaleźć zawsze nie trudno. Zazwyczaj przecie Verlaine trzyma się prozody tradycyjnej.

Z Mallarmé'go przejęli nowsi poeci głównie jego metafizykę i teorię symbolu; z Verlaine'a zaś przeważnie fakturę. Licencye Verlaine'owskie stały się dla nowszych poetów źródłem reform, mających stanowić *corolarium* dopełnienie ostateczne reform W. Hugo; swoboda bezwzględna rytmiki, zarzucenie sztucznej prozodyi Aleksandrynu, poszukiwanie melodii osobistej, właściwej każdemu poecie w szczególe. Innemi słowy: każdy poeta ma nie tylko własną osobistość, ale też własną muzykę duszy i własną prozodyę.

Reforma ta w technice zowie się *Vers libre*; ztąd *verolibrisme*.

Za istotnych twórców werlibryzmu uważani są J. Laforgue i G. Kahn, którzy pierwsi po Verlaine'ie zarzucili tradycyjny Aleksandryn i stale zaczęli uprawiać kapryśny, dowolny nierówny wiersz—(na pewnej wewnętrznej własnej logice metrycznej oparty) już to rymowany, już nierymowany, już to harmonizowany przez asonanse. Słowem pozornie jest to forma pośrednia między wierszem a prozą, przyczem melodia, zwroty, składnia u każdego autora jest osobistą i odmienną.

W języku polskim sprawa wolnego wiersza jest znacznie prostsza i nie następuje prawie żadnych trudności, choć i tu osobistość autora pewien specjalny ton nadaje utworom, jak to widzimy np. w wolnym wierszu Wyspiańskiego, Lemańskiego, Micińskiego. We Francji jednak stało się to kwestyą gabinetową między Parnasem a symbolizmem i np. Sully Prudhomme w swoim „Testamencie poetyckim“ wprost anatemę rzucił na werlibrystów (choć i on się z niemi pogodził i niedawno nagrodę I. B. wyznaczono werlibryście E. Micheletowi). Sprawa wolnego wiersza stała się z czasem niemal główną sprężyną całego ruchu poetyckiego i ostatecznie wszyscy t. zw. symboliści piszą albo wolnym wierszem albo bardzo kapryśnym Aleksandrynem. Do zasad Parnasu należała t. zw. *rime riche*; symbolizm przeciwnie ceni bardzo rym niedbały, a nawet pół-rym, asonans, jak u nas w pieśniach ludowych (kamięń—na nim, więcej tęcze).

Wiersz wolny uprawiają zwłaszcza, prócz Laforgue'a i Kahn'a, bardzo wybitni poeci, jak Henri de Regnier, V. Griffier, E. Verhaeren, M. Maeterlinck, Fr. Jammes i inni. Są jednakże symboliści (Rodenbach, Samain, częściowo Moreàs i Stuart Merrill), którzy zachowali dawną prozodyę, a Regnier wrócił ostatecznie do klasycznego Aleksandrynu.

Dwie te sprawy: zmiana poglądu na świat i zmiana prozodyi—stanowią główne linie

ruchu poetyckiego Francji, przyczem podstawą w każdym poszczególnym wypadku jest tu swobodnie wyrażająca się dusza jednostki.

A. Lange.



A. B. de Guerville.

## Szkice z Japonii.



IV.

### Ich dzieci.

Dzieci japońskie sliczne—tłusciutkie, z dużemi czarnemi oczętami, z podgóloną głową i małym kosmykiem włosów na czubku; wyglądają jak laleczki, przebrane na bal kostiumowy. Najszczęśliwsze to dzieci pod słońcem. Rodzice nie karzą ich nigdy, nikt nie słyszał w Japonii o klapsach. Uderzyć dziecko, to zbrodnia. Bo też i dzieci są łatwe do prowadzenia,—nie mażą się, nie gryzą, nie drapią, nie pacają nogami, łagodne, cierpliwe, rozsądne nad podziw.

Matka sama karmi niemowlęta tak samo wielka pani, jak i wieśniaczka czuwają nad swemi dziećmi we dnie i nocą. Kobiety ubogie, zmuszone pracować przez dzień cały, przywiązują sobie niemowlęta do pleców za pomocą szerokiego pasa, w rodzaju szala. W ten sposób matka krząta się około swoich zajęć, a tymczasem dziecko uczone do jej pleców, trzymane „na barana“ albo śpi, albo rozgląda się dokoła; przy poruszeniach matki, głowa podskakuje mu na prawo, na lewo. Patrząc na to, my cudzoziemcy, litujemy się nad jego losem, obawiamy się, że lada chwila kark skręci, ale kark Japończyka jest giętki a twardy.

Pewna dama angielska chciała kiedyś wypróbować, czy trudno nosić dzieci w ten sposób. Doznaje się dziwnego wrażenia—opowiadała potem. Jest się przygotowanym do dźwigania nieruchomego ciężaru, ale dzieje się inaczej.

Dziecko, najmniejsze nawet, chwyta za szyję, czuć, że trzyma się z całych sił; staje się jakby jednym ciałem z osobą, która go nosi, tak jak dobry jeździec ze swym koniem; wykonywa razem wszystkie ruchy, przeczuwa je poniekąd i przy najgwałtowniejszych nie traci równowagi.

W klasach wyższych dzieci nie są noszone na plecach, a od niedawna japońska burżuazja przyswoiła sobie nasze wózki dzieciinne.

Rodziny są nader liczne, a siostry starsze od lat sześciu wieku wyręczają matki w opiece nad niemowlęciem, które noszą dzielnie na plecach.

Nie przeszkadza im to bawić się z towarzyszami.

Małe dziewczynki od lat siedmiu do dwunastu, ubrane w jaskrawe *kimnoso*y z braciškami lub siostrzyczkami na barkach oddają się rozmaitym grom i zabawom.

Skaczą, biegają, krzyczą i śmieją się, a niemowlę, siedzące na ich plecach, bierze udział

w zabawie, śmiejąc się i krzycząc, co sił starczy.

Nie miłszego od japońskich parków, spełnionych wesołą dziatwą.

Nie mieć dzieci—to dla Japończyka rozpacz. Jeśli po paru latach małżeństwa żona pozostanie bezdzietną, mąż wprowadza do domu konkubinę, a ta choć jest matką jego dzieci, zajmuje stanowisko niższe od prawowitej żony i musi być jej posłuszną.

Wielka radość panuje w japońskiej rodzinie po urodzeniu dziecka, zwłaszcza jeśli jest niem—syn.

Na każdym podwórzu wznosi się maszt przewyższający dwukrotnie domostwo. W pewnych porach roku nad temi masztami powiewają obrzynie karpie malowane na jedwabiu a obwieszające liczbę synów.

Dlaczego karpie—właśnie? Bo ta ryba, umiająca pływać przeciw najsilniejszemu prądowi, jest u Japończyków emblematem wytrzymałości i odwagi. Dawniej chłopcy nosili warokocze, ale znikły one od czasu przyswojenia obyczajów Zachodu.

Obyczaj każe, aby rodzina, przyjaciele i znajomi składali wizyty nowonarodzonemu i przynosili mu podarki wraz z życzeniami szczęścia.

Jest w Tokio cała dzielnica, złożona z bazarów, w których sprzedawane są wyłącznie zabawki dzieciinne. Panuje tam ruch nieustanny i handel bardzo ożywiony. Japonia jest ojczyzną zabaw dziecięcych, urządzanych dla chłopców i dziewcząt razem.

W połowie Listopada dzieci dają tłumnie do świątyni, wznoszącej się w owej dzielnicy, aby podziękować bóstwu, że miało ich w swej opiece. Przy tej sposobności odbywają się procesje dzieci, przybranych w nowe szaty o żywych barwach.

Najważniejszym świętem jest nowy rok — przez cały tydzień dziadkowie, rodzice i dzieci oddają się szalonej wesołości. Po południu przyjmują i składają wizyty, zamieniają liczne podarki; dzieci zasypywane są zabawkami i cukierkami; wożone w *jinrickshas*, czyli tramwajach elektrycznych, a wieczorem po wspólnym festynie, cała rodzina oddaje się grom hałaśliwym.

Dla dziewczynek jest „Święto Lalek.“ W tym dniu we wszystkich domach wyjmują się z szaf lalki, gdzie są przechowywane starannie. Niektóre mają po sto lat, a wszystkie ubrane według mody swej epoki. Każda lalka ma wyprawę, lakowe meble, kuchnię, instrumenty muzyczne z kosztownego drzewa lub szyldkretu. Jedne we wspaniałych strojach, wyobrażają cesarza i cesarżowę; inne—słynnych mężczyzn i kobiety, któremi chlubi się Japonia.

Święto trwa przez trzy dni — a przez cały ten czas owe cudne lalki należą do dziewczynek, wolno im ubierać je, rozbierać, wydawać dla nich przyjęcia, słowem cieszyć się szczęściem niewymownem.

Dla chłopców jest „Święto chorągiewek,“ odbywające się w Maju. Przy tej sposobności rozdawane są podarki: szable, pistolety, armatki, bębny, trąbki, kaski wojskowe. Takie zabawki cenione są najbardziej przez małych Japończyków, od lat dziecińczych odzna-



czających się upodobaniami wojowniczymi i charakterem marsowym.

W każdym domu jest ołtarz, a na nim małe posążki, przedstawiające wszystkich bohaterów Japonii. Nad każdym z nich powiewa malutka chorągiewka z herbem danego męża, a u jego stóp leży broń malutka.

Strój niemowląt w Japonii bardzo prosty: długa, szeroka sukienka, nie krępująca ruchów, którą łatwo zdjąć i włożyć, żadnych pętel-pieluszek, powijkaków i t. p.

Gdy dziecię płacze, nikt go nie kołysze, nie nosi po pokoju — pozwalają mu się wykrzywić i samo traci do tego ochotę, a ponieważ go nie drażnią i nie nudzą, niema więc czego płakać.

Jakkolwiek może się to wydawać dziwnem, mali Japończycy boją się okropnie cudzoziemców. Dlaczego? Czy to, że różni się tak bardzo wyglądem od ich rodziców (im cudzoziemiec ma włosy jaśniejsze, tem większy strach wzbudza); czy, że rodzice straszą dzieci niegrzeczne obcym dyablem, tak jak my kominiarzem. Dlaczego? Dość, że się nas dzieci japońskie boją i znajdują nas bardzo brzydkimi, bodaj nawet potwornymi.

Tłóm. E. Żm.



## Przegląd teatralny.



Trafny instynkt publiczności.—Samodzielność sądu.—„Maszyna“ T. Rittnera.— Jej upadek.—Nowa sztuka S. Krzywoszewskiego: „Tęcza.“ — Jej siła. — Uczucie zwycięża.—  
*In hoc Signo...*

Publiczność warszawska ujawniać zaczyna niezwykle trafny instynkt w ocenianiu nowych sztuk najświeższego repertuaru dramatycznego. Jest w tym sędzi niemy tyle samodzielności, a w wyroku ostatecznym tyle niepodległego wyrazu, że się nad nim za stanowić należy.

Sąd jest „niemy“, bo publiczność głośno swego zdania nie wypowiada; a jednak sąd to bezwzględny, prawie wojenny, surowy i nie dający prawa do apelacji i jeżeli wypadnie dla utworu przychylnie, sztuka zdobywa powodzenie, jeżeli nieprzychylnie — nie jej od upadku nie obroni.

Widzę w tym sędzi samodzielność, gdyż publiczność, wytwarzając go w sobie, nie słucha niczyich opinii, a chociaż słucha, nie bierze ich do serca, najczęściej bowiem opinie, wygłaszane publicznie drukiem, znajdują się w sprzeczności ze zdaniem widza, który posiada własne oczy ku patrzeniu i własne uszy ku słuchaniu, nie mając najmniejszej ochoty poddać się sugestyi innych. Zdarza się więc w ostatnich czasach najczęściej, iż wbrew różnym opiniom krytyki przysięgłej, publiczność wyrokuje o nowej sztuce na podstawie wrażeń osobistych, przyjmując gorącym oklaskiem to, co jej przypada do smaku.

Mieliśmy tego dowód oczywisty na dramacie Tadeusza Rittnera, p. t. „Maszyna“, nagrodzonym na konkursie łódzkim im. Henryka Sienkiewicza. Wyrok „biegłych“ stwierdził przymioty sztuki, powitał ją z żywym zadowoleniem i powierzył scenie w tem przekonaniu, iż jej ofiaruje rzecz niepospolitą.

Wyrok krytyki, może nieco oziębły, był przecież nader dodatni i wróżył dramatowi długi żywot na scenie.

Nareszcie wyrok w ostatniej instancji wydała publiczność, która na pierwszym przedstawieniu „Maszyny“ w Rozmaitościach zgro-

madziła się tłumnie, na drugim już nie dopisała, niebawem sztuka zniknęła z afisza.

Jest to przykład znamieny i dający do myślenia. Świadczy on, iż publiczność nasza ma swoje upodobania, których lekceważyć ani teatr, ani autorowie nie mogą, pod groźbą — niepowodzenia. Trzeba się z tem upodobaniem liczyć i nie wysilać się w celu zwalczania prądu, bo to się na nic nie zda.

Krótką była radość zwolenników modernizmu, łudzących się nadzieją opanowania ogółu. Z początku, publiczność polska, znęcona reklamą, okrzykami zachwyty, wydawanymi przez przyjaciół, a zwłaszcza przyjaciółki, zaczęła zapełniać widowiska podejrzaną watością. Ale się wszyscy wkrótce przekonali, że wycieczki po... „Złoto runo“ żadnej nie przynoszą korzyści; odwrócono się też szybko od tych obrazów plugawych!.. Dusze spragnione ideału poczuły, że takie sztuki nie ukoją ich tęsknoty za nieskończonością. Na dramatach tego pokroju coraz częściej sala świeciła pustkami.

Czego innego publiczność żąda i oczekuje od poezji dramatycznej.

O „Maszynie“ tedy mówię, jako o utworze, który nie należy już do żyjących. Pogrzeb konkursowego dramatu odbył się w Rozmaitościach w ubiegłym tygodniu. Złożono go do biblioteki teatralnej, gdzie będzie spoczywał w spokoju.

Przyczyną jego śmierci nie był zgoła brak talentu twórcy. Bynajmniej. Tadeusz Rittner jest bardzo utalentowanym i bardzo inteligentnym pisarzem. W gronie „młodych“ zajmuje wybitne miejsce, dużo umie, dużo pracuje, bystro patrzy w życie, potrafi je obserwować i odczuwać.

Pomimo tego, pierwszy dramat nie udał się autorowi. Być może, iż przed kilku jeszcze laty, kiedy publiczność była zahypnotyzowana przez propagatorów t. zw. „nowej“ sztuki, kiedy nikt nie ośmielał się zaprotestować przeciwko ujemnym cechom twórczości współczesnej, kto wie, czy „Maszyna“, nosząca na sobie ślady wpływu Ibsena, nie znalazłaby gorącego u nas przyjęcia.

Przyszła na świat trochę za późno. Minęły czasy zachwyty bezkrytycznych nad dziełami ponurego poety skandynawskiego; ludzie przestali wierzyć na ślepo „dogmatom“ modernistów. Zrodziła się najpierw wątpliwość co do autorytetu szermierzy nowych haseł. Wątpliwość zachwiała ich powagę, której głośne obrony prozelitów ocalić nie zdołały.

Hasła okrzykane zbladły, przestały elektryzować, osłabły w działaniu. Najgorętsi ich zwolennicy zaczęli je wykrzykiwać jeszcze głośniej, ale były to już słowa tylko... *Vox, vox practerea nihil...*

Dziś ludzie nie słów pożądamy, ale czynów. Bohater, w najpotężniejszym natchnieniu wyrzucający potoki krasomówstwa ze swej piersi, nie zapali niczyjego serca, jeżeli czynem nie potrafi słów swoich stwierdzić i przypieczętować.

Napróżno poeci najnowszej doby zapewnają nas o bezbrzeżnych uczuciach swoich, o przepaścistych głębiach swych dusz... „Po czynach ich, poznacie je!“ Górnice nam ci poeci śpiewają, lecz poziomo żyją, więc daremne są ich wysiłki: nikt za ich głosem nie pójdzie.

Tak jest; ludzkość jest spragniona ożywej poezji i wypatruje, czy na przestworach nie zobaczy zwiastuna odrodzenia, ale nie da się obalamucić różnymi „secesyami“ modnymi bez treści i sensu.

Publiczność idzie do teatru na nową sztukę, mając nadzieję, że natrafi na oczekiwanego bohatera, który ją czynem porwie i do czynu zagrzeje. I opuszcza przybytek muz rozczarowana, a do sztuki zniechęcona.

Nie odezwał się jeszcze prawdziwy poeta. Tu i ówdzie słychać jakby dalekie echa nadchodzącej wiosny, widać błyski jutrzeńki—

ale ani jedna pieśń poezji oczekiwanej nie zabrzmiała dotąd, ani dzień upragniony nie zawitał.

Niech tylko na scenie zadźwięczy choćby jeden ton pokrewny tej tęsknocie serc naszych za ideałem, publiczność słucha tego dźwięku z uśmiechem na ustach i napęnia widownię.

Gdy wszakże, zamiast tego nastroju, widz napotka u dramatycznego bohatera słabość woli, rozumu i serca, wnet od sztuki i sceny odwraca się.

Nie pociągnął tedy i nie przemówił sympatycznie do widzów bohater dramatu konkursowego p. Rittner p. t. „Maszyna;“ sztuka pomimo świetnej gry artystów, przez czas bardzo krótki przetrwała na scenie Rozmaitości i ustąpiła miejsca komedii Stefana Krzywoszewskiego, p. t. „Tęcza.“

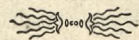
Nazwisko młodego autora nie jest obce naszej publiczności. Krzywoszewski, znany literat i publicysta, posiada wyrobioną formę pisarską. Pióro jego w licznych feljetonach, porozrzucanych w wielu tygodnikach, mieni się barwnością stylu, werwą i wytwornością; w tej indywidualności literackiej jest niemało zdolności malarskich, które pozwalają p. Krzywoszewskiemu chwycić obrazy życia i wiernie je przenosić na papier. Język ma płynny, potoczny, naginający się do różnych form tworzenia. Długi pobyt p. Krzywoszewskiego w Paryżu wpłynął dodatnio na jego wykształcenie artystyczne. Piękne wzory na które patrzył, nie minęły również bezskutecznie. P. Krzywoszewski nauczył się trafnie obserwować ludzi i wypadki. Z początku malował życie, jako dziennikarz, potem jako nowellista i powieściopisarz, wreszcie, jako dramaturg.

I oto Teatr Rozmaitości w r. 1902-im wystawił jednoaktówkę Krzywoszewskiego p. t. „Piękna ogrodniczka“, w r. 1903-im dał sztukę jego p. t. „Małe dusze“, a przed tygodniem na tej samej scenie ujrzelśmy nową komedię tegoż autora p. t. „Tęcza.“

Ujrzelśmy nową sztukę, która doznała dużego powodzenia; świadczy ona znowu o znamienym objawie wyrobienia publiczności. „Tęcza“ przynosi z sobą powiew świeży od radzającego się uczucia, które na jakimkolwiek gruncie wzrasta, zawsze pociąga ku sobie i budzi głęboki oddźwięk w każdej piersi. Trzeba być ślepym, żeby nie widzieć tej widocznej reakcji przeciwko doktrynie modernistycznej. Ogół po prostu ze wstrętem odwraca się od tej literatury historycznej, która przez chwilę zalewała swym prądem scenę. W „Tęczy“ uczucie zwycięża i naprawia złe wyrządzone przez życie, ukazuje cel jaśniejszy dalszego rozwoju, wybawia z przepaści biedne serce. I to stanowi siłę sztuki p. Krzywoszewskiego, który tą mocą potrafił ująć widzów, przekonać ich o słuszności dobrej zasady i złożyć wszystkie ręce do oklasków dla siebie.

Uczucie głębokie, szczere, oparte na fundamencie chrześcijańskim, będzie zawsze dźwięnią najszlachetniejszą duszy ludzkiej, która w niem czerpie nadzieję i pewność zwycięstwa, bo w niem wyczytać można wiekopomne słowa nad krzyżem jaśniejące: *In hoc Signo vinces...*

Adam Dobrowolski.



Ś. p.

## Wanda Żeleńska.



Dnia 27-go z. m. zmarła w Krakowie Wanda z Grabowskich Żeleńska. Urodzona w Warszawie w r. 1841-ym, była córką znanego oby-



watela warszawskiego i Izabelli z Jasieńskich.

Poślubiwszy w r. 1872-im zasłużonego i znanego muzyka, kompozytora i ulubionego pieśniarza, Władysława Żeleńskiego, była mu wzorową małżonką i towarzyszką przez długi szereg lat.

Obdarzona wysoce ukształconym umysłem, przedstawiała typ dziś u nas już zanikający—entuzjastki, należała bowiem do najgorliwszych wielbicielek i uczennic Narcyzy Żmichowskiej, z którą pomimo różnicy wieku, serdeczna łączyła ją przyjaźń! Gorącym sercem ukochała ideały przewodnie tej młodej grupy kobiet, wśród których talentem i umysłem świeciła Gabriela i starała się wcielić je w życie przez swe czyny.

Posiadając wrodzoną energię i dzielność, a nadto niepospolite zalety towarzyskie, umiała zgromadzać dookoła siebie intelligencję, z salonu swego uczyniła ognisko literatury i sztuki, w którym młode talenty znajdowały zachętę i poparcie. Duchowe to biesiadowanie rozprzestrzeniało wpływ swój na szersze kręgi życia umysłowego i społecznego Krakowa; ożywiało je, pobudzało, jednoczyło. Nie zaniebując obowiązków żony i idealnej matki, oddała się także działalności literackiej i społecznej, pracując nad polepszeniem doli nauczycielek. Od r. 1888-go pełniła obowiązki prezesowej w ich stowarzyszeniu, mającym na celu pomoc i opiekę dla strudzonych pracownic.

Zajmowała się gorliwie sprawą ożywienia przemysłu krajowego i urządziła wiec pań, któremu przewodniczyła, a z którego sprawozdanie nam nadesłane, pomieściliśmy na szpaltach „Bluszczu.“ Należała także do wielu stowarzyszeń filantropijnych i interesowała się czynnie wszelkimi kwestyami, związanymi z ruchem kobiecym.

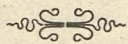
Od lat wielu była stałą współpracowniczką naszego pisma, zasilając je korespondencjami z Krakowa i artykułami treści literackiej i społecznej; opracowywała dla nas specjalnie wspomnienia osobiste o Żmichowskiej, które jako dalszy ciąg studium, mieliśmy pomieścić w roku bieżącym; zebrała i ułożyła staranną i zajmującą „Antologię poezji polskiej.“

Zawsze czynna i pracowita, jeszcze na kilka dni przed śmiercią nadesłała nam korespondencję krakowską, którą pomieszczamy w numerze niniejszym.

Zmarła była ciotką znanego poety Kazimierza, i utalentowanego artysty-malarza, Włodzimierza Tetmajera.

Cześć pamięci polskiej matrony i zasłużonej obywatelki!

g.



## Z listów do „Bluszczu.“



Kraków, w marcu.

Nie donosiłam o karnawale, który był dość cichy w tym roku, ledwo się o kilku balach publicznych i kilku wieczorach prywatnych zasłyszało. Cel został o tyle dopięty, że instytucje użyteczne zyskały trochę grosza, w świecie handlowym ruch się nieco ożywił i młodzież się zabawiła. Zjazd był wogóle mały; minęły te lepsze czasy zciągania ludzi ze stron bliższych i dalszych. Dziś zjeżdżają się panienki w poważniejszych celach; szukają tu nauki. Roi się od nich Uniwersytet. Odczyty pełne i pod tym względem jest to epoka największego ożywienia w Krakowie. Zajmujące tytuły przemawiają z afiszów na murach widniejących. Tylko co Lucyan Rydel o Don Kiszocie przemawiał dwukrotnie. Prof. K. Morawski o cesarzu rzymskim, Augustie.

Oprócz naukowych wykładów o świetle, o oku, cały szereg odczytów o polityce socyalnej wygłaszają profesorowie i docenci Uniwersytetu, po kilka odczytów bywa nieraz w jednym dniu, o jednej godzinie. Obok odczytów, jak wszędzie w tej porze, króluje i u nas muzyka. I tu budzi się poważne zamiłowanie do klasycyzmu, skoro melomani miejscowi po raz drugi w tym roku sprowadzają Burmestra, najlepszego wykonawcę dzieł Bacha. Przyjmowano go nadzwyczaj gorąco. Co prawda i Józef Hoffman nie mógł się zalić na brak zapachu; formalnie nie dawano mu zejść z estrady, żądając naddatków. Był doskonale usposobiony; „Sonatę apassionatę“ Beethovena, poloneza Chopina, odegrał jasno i pięknie, a bardziej indywidualnie, niż dawniej. Jak zwykle, zdumiewał swoją „Etudą“ na lewą rękę... Potem nastąpiły koncerty na instytucje dobroczynne. Amator-artysta, p. Przewłocki, co roku daje się tu słyszeć. W tym roku kolej przyszła na doskonale odegrany „Koncert“ Griega. Z uczennic i uczniów słynnego pedagoga Leszetyckiego, słyszeliśmy p. Fortunatę Egerównę, która zainteresowała wykonaniem dzieł Chopina, Paderewskiego, Schumannna. Następnie dzielny Friedmann wystąpił z ogromnym programem trzech „Koncertów“: Liszta, Czajkowskiego i Żeleńskiego (który grała w zimie u was p. Ładówna). Oklaskiwano siłę i szalony temperament młodego wirtuoza, darząc go kwiatami. Ten sam koncert Żeleńskiego ma on grać we Lwowie i Wiedniu, na przyszły rok wybiera się do Paryża podobno.

Następnie wystąpiła z własnym koncertem p. Szalitówna, bardzo dobra i pełna poezji młodzianka wirtuozka; zachwycała zwłaszcza wykonaniem „Waryacy“ Mendelsohna, „Humoreski“ Żeleńskiego, „Nokturnu“ Liszta i „Tarentelli“ Leszetyckiego, a bardzo zajęła własnymi utworami, obiecującymi na przyszłość. Rzadko wykonywany, przepiękny utwór Chopina „Polonaise-Fantaisie“, oraz Walc i Mazurek naszego arcy mistrza, odegrała ślicznie—z finezyą i dobrym smakiem. Wogóle cały ten koncert Pauliny Szalitówny pozostawił jak najlepsze wrażenie, budząc nadzieję, że wyrobi się z niej z czasem pierwszorzędna artystka, pełna uroku i głębszego rozumienia kompozycji, wykonywanych z samodzielnym odczuciem.

Oprócz tego mnóstwo tu koncertowych produkcji odbywa się w Lutni, w Tow. Muz., jako nowość ludowe koncerty, po niskich bardzo cenach, nie licząc różnych amatorskich i dobroczynnych. Konserwatorium urządziło dwa razy do roku popisy. Publiczność z zajęciem śledzi postępy uczniów; pomiędzy pianistkami kilka zdolnych bardzo uczennic dyr. Żeleńskiego; skrzypkowie i wiolonczeliści, sprawiali się dobrze, rozpoczęli popis kwartetem Beethovena, odegranym bardzo poprawnie. Prof. Marso przedstawił śpiewaków, a zwłaszcza śpiewaczki, w triach i duetach.

Jakby dalszym ciągiem tego popisu, było przedstawienie operetkowe w teatrze, złożone przeważnie z uczniów Konserwatorium. Dawano „Czarodziejskie skrzypki“ i „Małżeństwo przy latarniach“, w zakończeniu obraz z żywych osób, na rzecz Oświaty ludowej. Teatr był przepiękny i po raz drugi powtórzono to przedstawienie. Zawsze wychodzi się z teatru z zalem, że pozbawieni jesteśmy opery. Tej nędzy, tego głodu artystycznego, nie zna Warszawa! Tam podobno druga ostateczność, już zaczynają się zalić na zbytek muzyki niekiedy, ale dobrego nigdy nadto. W dużych miastach publiczność zawsze się znajduje.

My tu więcej, aniżeli teatrem, musimy się zajmować sprawami ekonomicznymi. Ważną sprawę poruszyło Tow. Pedagogiczne, z prezesem swoim, prof. Ulanowskim na czele. Idzie o zawiązanie Tow. Przyjaciół Szkolnictwa ludowego; o zebranie funduszu na zasiłki kuracyjne, na Schroniska letnie, rodzaj kolonii waka-

cyjnych i pensjonatów. Zbiorowemi siłami jednego można dokonać, a wiadomo, jak ciężkiem jest położenie ludowego nauczycielstwa. Różnego rodzaju i typu powinny być te schroniska letnie, o których się marzy. Jako pensjonaty, dla jednostek pozbawionych rodziny, jako kolonie wakacyjne dla rodzin, zanim zbudujemy sanatoria w najetych pustych dworach (wiele ich stoi próżno, skutkiem licznych parcelacji gruntów). Towarzystwo Przyjaciół Ludowego Szkolnictwa stawia sobie dalsze i donioślejsze cele, aniżeli ułatwienie wakacyjnych czasów (choć i to wobec ogólnego upadku sił i zdrowia, ogromnie ważne!). Zasiłki na kurację mają być też dawane.

Nowe Towarzystwo zaczyna od skromnych zadań, bo jeszcze prócz dobrej woli, nie posiada ani centa, ale pragnie wciągnąć bodaj całe myślicie społeczeństwo do zbawczej akcji. Przy oplakanych stosunkach nauczycielstwa ludowego wszelka pomoc, a zwłaszcza pomoc dana w wychowywaniu dzieci, będzie miała donośne znaczenie. Naturalnie, że są to ulgi jakoby tymczasowe, prowizoryczne, dopóki los nauczycielstwa nie zyska podstaw pewnych i stałych. Budzi się też potrzeba samopomocy, zawiązuje się Towarzystwo wzajemnej pomocy nauczycieli i nauczycielek. Bursa dla synów nauczycieli istnieje oddawna w Krakowie, ale to wszystko nie wystarcza.

Dwie korony rocznej składki nie odstraszą nikogo; ileż spraw w naszych oczach powstało z drobnej ofiarności, z gorącej żądzy czynienia dobrze—pojedynczych ludzi! Jak się rozrosły kolonie wakacyjne dla dzieci chorych, jak w naszych oczach teraz rozrastają się Tanie kuchnie. Można je zalecić jako przykład, bo niesłychanie wielkie oddają przysługi, dzięki dobrej organizacji i ofiarności pań naszych. Jedna z tych kuchni po niespełna trzech miesiącach doszła do liczby 6,000 szklanek herbaty, 3,000 obiadów, 3,000 bułek, wydanych w ciągu lutego np. Istnieje ona przy ul. Zwierzyńckiej; druga, przy ul. Długiej, założyła filię na Grzegórkach. Miasto ma zamiar swą herbaciarnię także rozszerzyć w roku przyszłym do większych rozmiarów. Uwijają się w Tanych kuchniach zarówno starsze panie, jak panienki, znajdując prawdziwą przyjemność w pełnieniu tych obowiązków; dzięki ścisłemu nadzorowi jedynie, tanie kuchnie mogą się utrzymać, opłacać lokal i służbę i jeszcze składać jakieś oszczędności drobne, na czarną godzinę. A proszę pamiętać, że obiad kosztuje 10 centów, wieczerza (bez zupy) 6, szklanka herbaty 1 centa! Można ocenić, jakim dobrodziejstwem jest podobna instytucja dla rzemieślników, dla studentów przyjeżdżających z prowincji z małymi częstokroć funduszami.

Doroczne zgromadzenie Stowarzyszenia nauczycielek odbyło się we własnej bibliotece, pod przewodnictwem p. Wandy Żeleńskiej; wydział nadal pozostał niemal w dawnym składzie. Liczba członków Stowarzyszenia dochodzi do 500. Dzieł zakupionych i otrzymanych w ciągu roku przybyło 200, czasopism otrzymywano 28.

Najważniejsze usługi oddaje fundusz pożyczkowy, wynoszący obecnie 5,336 koron. Korzystało zeń osób 12, w sumie od 100 do 300 koron każda. Postanowiono, ku wygodzie członków, procent z 4 obniżyć na 2.

Zapomogi bywały udzielane chorym i niezdolnym do pracy członkom, w sumie ogólnej 1,535 koron.

Celem przyspieszenia urządzenia schroniska we własnym domu, wypuszczono w obieg książeczki z 10-centowymi kartkami, które panie rozebrały między siebie.

Ostatnią ratę, 6,000 koron, zapłacono dawnemu właścicielowi domu, pozostał tylko dług Kasy Oszczędności.

Niejedną rzecz w ostatnich czasach drobnymi składkami przyprowadzono do skutku, jest więc nadzieja, że i ze Schroniskiem się uda.



Na wniosek pani Świdarskiej, postanowiono wysłać wyrazy holdu do pani Curie-Skłodowskiej, którą uczyły w ten sposób kobiety innych krajów.

Ogólne dochody Stowarzyszenia z wkładek, darów, loteryi, kantoru i komornego, wynosiły 19,513 koron. Wydatki (jak piece, podłogi w domu w Zakopanem, restauracja domu etc.) wraz z pensją kierowniczek biura i biblioteki, komornem, służbą, introligatorem i książkami 18,406 koron, zatem 1,107 koron pozostało na rok przyszły. Komisya biblioteczna postanowiła odbywać w lokalu pogadanki pedagogiczne, o nowych pismach i książkach. Wydział Stowarzyszenia zajmuje się myślą o zbiorowej assekuracji. W Prusach jest ona, jak wiadomo, obowiązkiem dla wszystkich nauczycielek, u nas jest nadzieja zyskania pewnych ustępstw i ulg dla stowarzyszonych.

W.

## Kronika działalności kobiecej.

— Z Kassy kobiet.

Sprawozdanie z posiedzeń zarządu Kassy samopomocy dla kobiet pracujących, za miesiąc Marzec, wykazuje coraz szerszą działalność niustającą w rozwoju instytucji.

Pożyczek wypłacono 26 na ogólną sumę rubli 630; wsparcie udzielono 12 na ogólną sumę rubli 48, porad lekarskich 111, lekarstw wydano 103, nadto wyasygnowano rubli 10 na pogrzeb męża uczestniczki.

Otrzymano dla uczestniczek Kassy 150 kąpiel bezpłatnych w Ciechocinku.

Członkini Komitetu p. Kašinowska złożyła rubli 15 na wydział wsparcie i rubli 25 na budowę letniska.

— W pierwszym zeszycie „Przeglądu filozoficznego“ za rok bieżący znajdujemy wiele interesujących rozpraw oryginalnych i sprawozdań z ruchu filozoficznego, a wśród tych artykuły: d-ra Stefanowskiej i d-ra Joteykówny.

P. Joteykówna pracami swymi zdobyła zaszczytne uznanie na Zachodzie. Oto co o rodaczce naszej pisze belgijski dziennik „Le Soir“, w artykule p. t. „Nos savants à l'étranger“ („Nasi uczeni za granicą“).

„Już nieraz mieliśmy sposobność zapisywania sukcesów, odnoszonych przez naszych poetów i literatów w Instytucie francuzkim, lecz nie często się zdarza, iżby uczeni nasi otrzymywali nagrody Akademii Nauk w Paryżu, która również odbywa sądy swoje „pod kopułą.“

Dowiadujemy się z najżywszem zadowoleniem, że Instytut francuzki (Akademia nauk) przyznał nagrodę Lallemanda, z układu nerwowego, doktorce J. Joteykównie, przełożonej laboratorium psycho-fizyologicznego przy Uniwersytecie brukselskim.

P. Joteykówna jest twórczynią teorii obwodowej znużenia, opartej na doświadczeniach i uznanej powszechnie. Aczkolwiek podejmowała już i rozwiązywała liczne inne zagadnienia, p. Joteykówna obrała sobie za specjalność studia nad znużeniem. Jej to zawdzięczamy najobszerniejsze i najbardziej wyczerpujące dzieło o znużeniu, ogłoszone w „Dictionnaire de psychologie.“ Na kongresie higienicznym w Brukselli, odbytym we Wrześniu r. z., rodaczka nasza znakomicie naszkicowała prawidła, jakimi należy się kierować w badaniach znużenia robotników w pracowniach, fabrykach i t. p.

P. Joteykówna jest współpracowniczką wielu pism specjalnych, jak: „Revue scientifi-

que“, „Revue générale des sciences“, „Année psychologique“ i t. p. Postawiono też jej kandydaturę do królewskiej belgijskiej Akademii medycznej, a postawiła ją sama Akademia.

Po raz drugi już Instytut francuzki nagroził jej prace, albowiem przed trzema laty przyznano młodej uczoney nagrodę Monthyona z filozofii doświadczalnej.

Z powodu odczytania nagród paryzkiej Akademii nauk, które się odbyło w Grudniu r. z. w Instytucie francuzkim, czytamy w „Le petit bleu du matin“ (z d. 12-go Stycznia r. b.) następującą wzmiankę p. t. „Le féminisme à l'Académie:“

Na ostatniem posiedzeniu w królewskiej belgijskiej Akademii medycyny wysłuchano sprawozdania komisji, której powierzono ocenienie rękopiśmiennej rozprawy, złożonej przez p. Joteykównę, doktorce medycyny, przełożoną laboratorium psycho-fizyologicznego w Uniwersytecie brukselskim, p. t. „Mechanizm fizyologiczny reakcji zwyrodnienia mięśni.“

Sprawozdawca, p. E. Masoin, zaproponował Akademii złożenie podziękowania autorce, wydrukowanie jej rozprawy w „Bulletin“, oraz zapisanie nazwiska p. Joteykówny na liście ubiegających się o tytuł korespondenta zagranicznego.

Ten ostatni wniosek, według p. Masoina, jest już faktycznie uprawniony, albowiem ustawy i regulamin Uniwersytetu brukselskiego nie zabraniają przyjmowania kobiet, to zaś, co nie jest zabronione, uważać należy za dozwolone. „Panna Joteykówna — pisze pan Masoin, — „zdobyła dyplom doktora medycyny i należy do uczonych Towarzystw w naszym kraju. Jej poważne prace, jej zaszczytny rozgłos w świecie nauki, daje nam pewność, że ta nowa oznaka uczczenia, będzie tylko nową zachętą dla uczoney na dalszą drogę pracy i mozolnych studyów.“

Akademia propozycję przyjęła.

Z. S.

## Nasz ul.

— „Tygodnik Ilustrowany“ w numerze 13-ym zamieścił rozbiór krytyczny Aleksandra Brücknera, zatytułowany: Piotra Skargi «Kazania sejmowe,» oraz drugą z kolei humoreskę, nagrodzoną na konkursie, p. t. «Sokrates i obrazoplujka» (Sąd), pióra Jana Lemańskiego, nadto zajmujący artykuł Ksawerego Sporzyńskiego p. t. »Polki sławne za granicą,« omawiający działalność p. Józefy Jo-

tejkówny. Nakoniec «Nowy dworzec we Lwowie,» przez T. C. opatrzony licznymi rycinami.

— Wyszedł z druku zeszyt VIII tomu VI-go „Encyklopedyi Wychowawczej“ i obejmuje następujące artykuły: „Literatura dla młodzieży“ przez St. Karpowicza i A. Szybowinę (dokończenie), „Literatura polska,“ przez Romana Plenkiewicza.

— W Berlinie zmarł ś. p. Józef Raebiczek. Zmarły znany był w Warszawie, jako długoletni kapelmistrz Opery miejscowej.

## OD REDAKCYI.

Po ukończeniu powieści „Miłość moim grzechem,“ rozpoczniemy w dodatku druk wysoce zajmującej powieści, która w obecnym czasie zajmowała umysły, interesując się sprawą położenia kobiet pracujących, p. t. „Robotnica w Stanach Zjednoczonych,“ przez M. John i M-me Marie Van-Vorst, opatrzonej przedmową prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, Th. Roosevelt'a.

— Złożono w Administracji naszego pisma dla bardzo chorej na płuca nauczycielki z matką sparaliżowaną:

„Ziarnko do ziarnka:“ Bezimiennie rub. 1, Ap. Ol. kop. 10.

### Treść numeru:

Gospodarka domowa. IV. Stowarzyszenie rodzin szczęśliwych, przez Sz.— Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy).— Quodlibet (pogawędka), przez Quisa.— Kiedy w lodowe... (wiersz), przez Stanisławę Dąbrowską.— Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy).— Pokój dziecka, przez d-ra K.— Nowa literatura francuzka, przez A. Langego (dokończenie).— Szkice z Japonii, według A. B. de Guerville'a (dokończenie).— Przegląd teatralny, przez Adama Dobrowolskiego.— Ś. p. Wanda Żeleńska, przez g.— Z listów do „Bluszczu:“ z Krakowa, przez W.— Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.— Nasz ul.— Od Redakcyi.— Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 15-ty powieści „Miłość moim grzechem,“ w przekładzie z francuzkiego M. Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 33).— Przepisy kuchenne.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcz“

KSIĄŻKA ZBIOROWA p. t.

# „KOBIETA WSPÓŁCZESNA“

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracji „Bluszczu“

Prenumeratorki „BLUSZCZU“ płacą za powyższe dzieło **tylko rb. 1.**

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.





# GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 55 w WARSZAWIE.

Poleca w wielkim wyborze:

**PŁÓCIENKA, SATYNY, ZEFIRY, KRETONY, PIKI, BATYSTY,**

oraz dreliszki na ubrania męskie, dziecięce i liberyjne.

Pledy powozowe, kołdry flanelowe i inne. Materiały na derki letnie dla koni. Worki, Wańtuchy. Płótno do suszenia chmielu.

**Kolorową damską i męską bieliznę.**

Gotowe wyprawy od Rb. 100.

Próby—franco.

## Kwiaty do kapeluszy

podług modeli Paryskich; garnitury ślubne, ubieranie żardinier koszów i wazonów.

# KIEŁKIEWICZ

Niecała №. 10.

Ceny niskie.

## Sanatogen

Środek wzmacniający nerwy i zasilający organizm u dorosłych i dzieci.

Prawdziwy tylko **Bauera i Ski** w opakowaniu rosyjskiem.

Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw.

Broszury na żądanie bezpłatnie.

S. Karczewski, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.

Pismo poranne, codziennie wychodzące, nie wyłączając niedzieli

# GAZETA WARSZAWSKA

z tygodniowym dodatkiem bezpłatnym p. t.

**Korespondent Rolniczy, Handlowy i Przemysłowy**

podająca od czasu do czasu ilustracje z chwili bieżącej ogłasza, co następuje:

Wobec ważnych wypadków politycznych, dla dogodności naszych czytelników tak w Warszawie, jakoteż i zamieszkałych na prowincyi, odstępujemy od przyjętego zwyczaju liczenia kwartałów: od 1-go stycznia, od 1-go kwietnia, od 1-go lipca i od 1-go października, i **przyjmować będziemy prenumeratę od każdego pierwszego dnia miesiąca.**

Prenumerata więc może być opłacana kwartalnie, półrocznie i rocznie w stosunku miesięcznym po **75 kop.** w Warszawie i **1 rubla** na prowincyi.

Nadmieniamy, iż „GAZETA WARSZAWSKA“ opuszcza prasę drukarską o godz. 6-ej zrana, zamieszcza więc prócz telegramów w ciągu dnia przychodzących i telegramy nadsyłane na stację warszawską między godziną 6-tą z wieczora (t. j. już po wyjściu pism południowych) a 5-tą zrana, a jako wyprawiana z Warszawy pociągami rannymi, z większych pism warszawskich przychodzi na prowincję najwcześniej.

Wydawca: *Piotr Laskauer.*— Redaktor: *Maryan Gawalewicz.*

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Марта 1904 г.

33 NOWY-ŚWIAT 33

SKŁAD PAPIERU

## Edwarda Teodorkowskiego

poleca wielki wybór papierów listowych krajowych i zagranicznych. Albumy do kart pocztowych, karty pocztowe, wizytowe, oraz wszelkie roboty drukarskie i litograficzne.

## Ciechocinek,

Pensjonat „Zachęta“. Kuchnia staranna, table d'hote, pianino, pisma, gry towarzyskie, tenis, opieka nad potrzebującymi takowej, gimnastyka szwedzka i masaż na miejscu. Zamawiać można do 15-go maja. Warszawa, Moniuszki 9, Kuczalska.

PIERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

## ANTONINY PIASECKIEJ

poleca nauczycieli, nauczycielki, bony sprowadza cudzoziemki

Warszawa, Krak.-Przed. 38.

## III-ci rok wydawnictwa

Wychodzi dwa razy na miesiąc, objętości 96 — 112 str. wiel. form.

# Biblijoteka Samokształcenia

Zawiera artykuły popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin nauki; w dziale książkowym: dzieła i studia obszerniejsze.

Wyszedł № 1. Zawiera: **Od redakcji** — St. Kucharskiego; **Nauka a natchnienie** — D-ra Piotra Chmielowskiego; **Pierwsza kartka historii religii** — Ign. Radlińskiego; **Eug. Dühring** — D-ra H. Höffdinga.

W dziale książkowym: **Wyższe wykształcenie kobiet, a współczesna nauka uniwersytecka z dodaniem uwag o zasadach przewodnich samokształcenia i samokierownictwa duchowego** — D-ra Eug. Dühringa.

Biblijoteka ogłosiła konkurs 500 rublowy dla prenumeratorów na wybranie „złoty myśli“ zawartych w dziełach wysłanych w Biblijotece. Termin 14-go Września. Komplet Biblij. Sam. z 1903 roku do nabycia jeszcze po cenie redakcyjnej.

Z roku 1902 komplety są już wyczerpane.

Pojedyńcze książki do nabycia w księgarniach.

Prenumerata: rocznie 6 rb., półrocz. 3 rb., kwart. 1.50 rb.; z przesyłką: 8 rb., 4 rb., 2 rb.

Dla kształcącej się młodzieży 50 kop. miesięcz. w miejscu.

Redakcja: NOWY-ŚWIAT 37.

Amazonki

## Jan Zborowski

Kostyumi

KRAWIEC MĘZKI

WARSZAWA, ul. Nowy-Świat № 30

1-sze piętro od frontu (naprzeciw Chmielnej)

Ma zaszczyt zawiadomić J. W. i W. Panie iż otworzył

## ODDZIAŁ OKRYĆ DAMSKICH

Płaszcze

pod osobistym kierunkiem

Żakiety

ZAKŁAD HODOWLI DROBIU RASOWEGO

## Izabelli Ryxowej

w Prażmowie, p. Grójec (g. Warsz.), ma:  
do Sprzedania.

1) **Indory** brązowe, amerykańskie i **indory** czarne, francuskie, Solońskie, zahartowane na deszczu, rosie i mrozie. Cena 10 rb. sztuka. 2) **Gąsior** rasy Emdeńskiej, wielkie, śnieżnobiałe, tegorocznego lęgu, wyborne reproduktory dla odświeżania krwi. Cena 8 rb. sztuka. Indyki i gęsi (samice) tychże ras na sprzedaż przeznaczone, już wszystkie wyprzedane.

## Przegląd Pedagogiczny

Dwutygodnik, poświęcony wychowaniu domowemu i szkolnemu.

Niezbędny zwłaszcza dla matek i nauczycieli domowych.

Wychodzi rok 23-ci.

Prenumerata kwartalna: w Warszawie rb. 1.50; z przesyłką poczt. rb. 1.75.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41